

Fot. M. KOPEC

Jan Grygiel

ROCZNIKI — WYDAWNICTWA POŻYTECZNE

Ukazujące się już od paru lat w niektórych miastach naszego województwa „roczniki” spełniają wielostronną i pożyteczną rolę. Zaspokajają ambicje wydawnicze regionów, stanowią pożywkę, na której rozwija się pożyteczny patriotyzm lokalny, aktywizują ludzi prowincji parających się pracą naukową i przynoszą czasem cenne materiały historyczne, etnograficzne, socjologiczne i inne dotyczące określonego regionu. Jeśli nawet rozprawy drukowane w rocznikach mają charakter przy czynkarski, to i wtedy ich wartość jest niewątpliwa. Stanowią materiał pomocniczy do późniejszych uogólnień naukowych. Wreszcie, co również nie jest bez znaczenia, roczniki pogłębiają wiedzę o rodzinnych stronach mieszkańców Sanoka, Jasła czy innych miast, o ich przeszłości i tradycjach i wiążą z miejscem pochodzenia uczonych rozsią nych po kraju, którzy zwykle patronują tej akcji wydawniczej i w tych publikacjach zamieszczają swoje rozprawy. Swoje roczniki wydaje w naszym województwie Rzeszów, wieloletnią tradycję wydawniczą ma Przemyśl, ukazują się roczniki w Sanoku i w Jarosławiu, rozpoczyna taką akcję Lubaczów. Wprawdzie najczęściej roczniki wbrew swojej nazwie wychodzą co kilka lat, gdyż trudno środkami społecznymi co roku wydawać gruby tom prac naukowych, ale tra-

dycje wydawnicze roczników już się utrwaliły.

Niedawno ukazał się drugi z kolei „Rocznik Sanocki” (pierwszy ukazał się w roku 1963 i był związany z jubileuszem 800-lecia miasta). We wstępie czytamy, iż „drugi tom Rocznika ma na celu uczczenie 20-lecia Polski Ludowej i dlatego poświęcony jest jej dorobkowi (w sanockim — przypisek mój J. G.) na wszystkich odcinkach naszego życia”... I dalej... „Ziemia sanocka winna mieć tę ambicję, by u najmłodszego pokolenia narastała wiedza o tej ziemi, ta wiedza bowiem ugruntuje lokalny patriotyzm, będący zawsze podłożem i podstawą szeroko pojętej miłości ojczyzny”... Trzeba stwierdzić, że wydawnictwo dobrze realizuje nakreślone przez redakcję cele.

Rocznik składa się z następujących działów: Z dziejów Sanoka i ziemi sanockiej, Walka z krzywdą społeczną, Walka z faszyzmem w czasie okupacji, Z niwy oświatowo-kulturalnej i Wspomnienia. Tom uzupełnia kilkadziesiąt ilustracji oraz kilka mapek. Trudno wymienić tu i szczególnie analizować wszystkie prace opublikowane w Roczniku, nie czuję się zresztą do tego powołany. Niektóre mają charakter wyraźnie przy czynkarski. Mimo to należy podziwiać ich autorów za niezwykłą skrupulatność w gromadzeniu faktów i zjawisk, w docieraniu

(Ciąg dalszy na str. 3)

To był finisz długodystansowca. Typowy, zwolniony w początkach kilkunastoletniej historii bieg z zasadniczą przeszkodą, jaką była kilkuletnia niemożność usytuowania obiektu w odpowiednich warunkach; później zupełnie pospolite tempo budowy, adaptacji i wreszcie ów zryw finalny, kiedy stwierdzono, że 10 listopada Klub Międzynarodowej Prasy i Książki musi otworzyć swe podwoje.

Otworzył — dzięki ambicji budowniczych, poświęceniu robotników. Na pięć minut przed uroczystym otwarciem, półtora okna w bocznej przybudówce co prawda było nieumyte, bo brakło czasu, ale reszta błyszczała czystością i komfortem. Chociaż złośliwi twierdzili, że po uroczystym otwarciu obiekt należy zamknąć i dokończyć jego urządzania, to złośliwych wszak nie brak nigdy, a ruszający na wielkim zrywzie Klub zadaje kłam podobnym insynuacjom w sposób drużgocący. W chwili gdy to pisać ma bowiem już za sobą trzy imprezy; w chwili gdy to się ukaże w druku na pewno podwoi ich ilość — w sumie zaś będzie to zaledwie tydzień jego działalności...

Właśnie tej działalności Klubu, który jest nie tylko przecie księgarnią z międzynarodowym słowem pisanym, a w żadnym wypadku nie może być filią miłego skąd inąd „Kosmosu” czy, Boże zachowaj — „Pstryczka” i „Śródmiejskiej” (że też nikt nie potrafi się zainteresować jakie regresy kulturalne tam się uwidaczniają) — tej działalności powtarzam, warto byłoby poświęcić chwilę uwagi. Może się bowiem zdarzyć, że będzie to najprężniejsza kulturalnie placówka w mieście; może, a nie powinno, że będzie powielala stare wzory WDK-u czy znanych nam kawiarni. Kierownik Klubu — Aleksander Międlar

drzy przed taką ewentualnością i pracując na razie po 14 godzin na dobę ma jedno pragnienie: żeby zawsze, żeby codziennie, żeby nie wiadomo jaką energią i jakim kosztem coś się działo, co przy tym naocznie wykaże inność „empiku”, jego odrębne formy upowszechniania oraz wielorakość tych form. Marzy mu się po prostu „tydzień siedmiu imprez” i Klub wypełniony po brzegi użytkownikami. Zaprasza więc wszystkich osobiście, wahaających — ośmiela, wyciąga co atrakcyjniejsze tygodniki w cichej czytelnicy, pewnemu panu pożyczył nawet „Forum” do domu, czym zaskarbił sobie zapewne jego wdzięczność dozgonną i... udział we wszystkich zamierzanych imprezach. Słowem — ma w sobie ta praca coś z wielkiej improwizacji i dopóki zachowa się ten styl, dopóty wierzyć można, że Klub ma szansę pobić rekordy powodzenia i zdystansować inne placówki kulturalne, których przecie nie za dużo w Rzeszowie. I wcale nie od rzeczy byłoby tu powiedzieć o nowej szansie integracji środowisk twórczych, bo znowu mają tu swój kącik plastycy w la dnej salce wystawowej, ma ją estradę aktorzy, którzy być może polubią ją bardziej od istniejącego fantomu — Małej Sceny (pustej, nie wykorzystanej tak bardzo, że ma się ochotę posłużyć słowami znakomitego Jeremiego Przybory do muzyki już nie Wasowskiego, ale własnej: strach, strach, strach — rany boskie!), bo przewiduje się dzień międzynarodowej polityki, godzinę poezji, wieczór z piosenką, kontakty z nauczycielstwem. I przewiduje się po raz pierwszy, że bazą tej działalności będzie powszechna, swobodna dyskusja.

Myślę, że właśnie ta cecha działalności Klubu, je śli się okaże prawdą nie fikcją, znana nam z rozlicznych prelekcji, będzie

stanowią sprawdzian jego mądrej roboty.

Istnieje naturalnie szereg obaw, np. z jednej strony — czy finanse Klubu pokryją się z ambicjami, czy owo „dużo i często nie przekształci się przypadkiem w bylejaką i na czas dostarczaną; z drugiej, czy publiczność rzeszowska potrafi szybko dostosować się do atmosfery dyskusyjnej, bądź — czy przypadkiem proporcje nie rozchwiewią się między ilością komentarzy kawy, a konsumentami słowa pisanego. Są to na razie pytania czysto retoryczne, które przyszłość sprawdzi.

Miejmy nadzieję, że kiedy ruszy zaplecze dostosowane do potrzeb lingwistycznych, z aparaturą dźwiękową do nauczania języków obcych, kiedy lektorzy z prawdziwego zdarzenia nadadzą tym posiedzeniom odpowiedni poziom, kiedy każdy przeciętny znawca języka obcego znajdzie tu miejsce do konwersacji, jak to zresztą bywa w innych klubach — i ten 46 Klub w kraju przyłączy się do czołówki.

Zainteresowana szczerze tą formą działalności Klubu oraz jego ambicjami podboju publiczności rzeszowskiej, wierzę, że uformuje się wokół nowej placówki grono prawdziwych sympatyków, zapaleńców, ludzi, którym się nudzi, a którzy jeszcze tak całkiem z pomysłów nie wyjałowili i spośród nich właśnie wyłoni się Rada Klubu, której konieczność powołania już dziś widzi jego kierownictwo. Na razie przeto wyjaśnijmy raz jeszcze, że wszyscy są mile widziani, bo „empik” jest w pełnym tego słowa znaczeniu miejskim dobrem powszechnym. Udzielmy więc kredytu zaufania nowemu partnerowi i pilnie baczmy, by zwrócił nam procenty w kulturaliach.

KRYSTYNA S.

NO- WY PART- NER

... Specjaliści określają językiem fachowym: są to szczegóły nietypowe. A przy tym zagubione we wsi, odległe od przetartych dróg, trudno dostępne. Uwieczniali je na zdjęciach, sporządzając dokumentację zabytkowych obiektów dla SKŁADNICY ZABYTKÓW przy MUZEUM W ŁAŃCUCIE. Składnica gromadzi jak wiadomo rozmaite przedmioty, elementy wystroju zabytkowych cerkiewek na terenie naszego województwa, chroniąc w ten sposób ich resztki od grabieży zachłannych pseudomilośników i handlarzy, niekiedy mieniących dumnym mianem kolekcjonerów.

Podczas penetracji terenu powstają całe albumy dokumentacyjne, którymi potem dysponuje tańcucha Składnica.

Poziom artystyczny fotogramów wykonanych przez Wacława Górskiego i Jerzego Szandomirskiego z Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie, Władysława Szulca z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, niepowtarzalne już dziś piękno drewnianych zabytków wiejskiej architektury, gontów, belek, węglów, zdecydowało, iż fotogramom tym poświęcono odrębną wystawę zorganizowaną w pomieszczeniu rzeszowskiego „Miastoprojektu”, w ramach imprez związanych z II Międzynarodową Kampanią Muzealną.

Specjaliści rozpatrywali ukazane na artystycznych fotografiach cechy budownictwa ludowego w kategoriach fachowych, ciesząc tym wyraźnie kierowniczkę Składnicy Zabytków, mgr Joannę Szczepową, która jednakże omijając cały „fachowy” słownik zwracała uwagę licznych zwiedzających na rzetelne piękno, zaklęte w te proste na pozór elementy drewnianych cerkiewek — stanowiących już zabytki architektury — wiejskich zagród częstokroć przeznaczonych do sanockiego skansenu, na urodę zamków i żelaznych okuć majstersztyków artystycznego kowalstwa.

Gdy mówiono się o typowej architekturze budownictwa bloko-

Cecylia Błońska



Fot. W. GORSKI

Belki z Haczowa wyciosano w formie maski Światowida.

Zaszeregowane do I grupy zabytków cerkiewki w Uluczu, w Owczarach, cerkiew z Nowicy koło Gorlic, pochodząca z końca XVIII wieku stanowiącą mogiło studio architektury. Obiekt cerkiewny w Uluczu pozostaje pod opieką Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. W Chotyńcu ciesiołka ludowa pozostawiła elementy niepowtarzalne: trzy słupy z podcie-

ni, każdy inaczej rzeźbiony, wy-modelowany na innych sposób.

Niezależnie od rozległej, burzliwej chwili dyskusji nad dalszymi losami tych obiektów, skomplikowane i kosztowne zabiegi konserwatorskie przedłużają ich trwanie, ocalają dla dziejów kultury.

Fotogram obronnej dzwonnicy w Radrużu godzien figurować na propagandowym plakacie (artystycznym oczywiście) Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej.

Wyniosła budowa dzwonnicy, która w wieku XVII służyć miała celom obronnym, po żmudnych robotach konserwatorskich w plenerze na tle pół olśniewa surowym pięknem.

Więc słusznie rozważa się, komentując pozytywki tej niezwyklej ekspozycji, która prezentowała obiekty z powiatów Przemyśl, Gorlice, Jarosław, Krosno i in. jej efekty popularyzacyjne.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że skłonni podziwiać urodę zaklętej w drewnie, nie powrócimy do niej. Najgłośniejsze nawet lamenty zagorzałych miłośników nie potrafią już przywrócić tych artystycznych belek, gontów, węglów, ich dawniejszej powszedniej funkcji. Nikną one i giną całkowicie pod naporem nowych form budownictwa z cegły, z pustaków, domów i zagród wznoszonych według projektów typowych.

Pozostaje im natomiast rola zabytku, eksponatu, który ogląda się bardzo chętnie.

Dobrze więc, że zawsze pełne wysokiej klasy pomysłów Muzeum w Łańcucie — wraz ze swą Składnicą Zabytków — na te właśnie sprawy zwróciło uwagę w jednej z imprez związanych z Międzynarodową Kampanią Muzealną.

Sensowna również wydaje się propozycja, by tak z fotoeksponatami, jak i z albumami Składnicy bliżej zapoznać przewodników PTTK, coraz liczniejszą służbę re-sortu turystyki.

Niech wiedzą dokąd kierować turystów, również i zagranicznych, którzy byli już w Zakopanem, w Krynicy i w Grand Hotelu w Sopotcie, uwiecznili się na fotografii przed Sukiennicami.

I ciągle jeszcze chcieliby oglądać coś niezwykłego...

Postawy

PRACA

„Mieszkam w domu dwurodzinnym przy ul. X, na parterze. Nasze mieszkanie ma pokój i kuchnię. W kuchni mamy jedno okno, a w pokoju dwa. W kuchni mamy kredens, stół biorowcy, jedno krzesło i kuchnię. Natomiast w pokoju mamy piec kaflowy, dwa uszka, szafę, maszynę do szycia, bo oczywiście mój ojciec jest krawcem, tapczan, trzy krzesła, wieszak, stół noi oczywiście podłogę. Acha, jeszcze na ścianach wiszą święte obrazy pana Jezusa i Matki Boskiej, poza tym nic już więcej nie mamy w swym mieszkaniu prócz tych przedmiotów które napisałem w swej pracy domowej”.

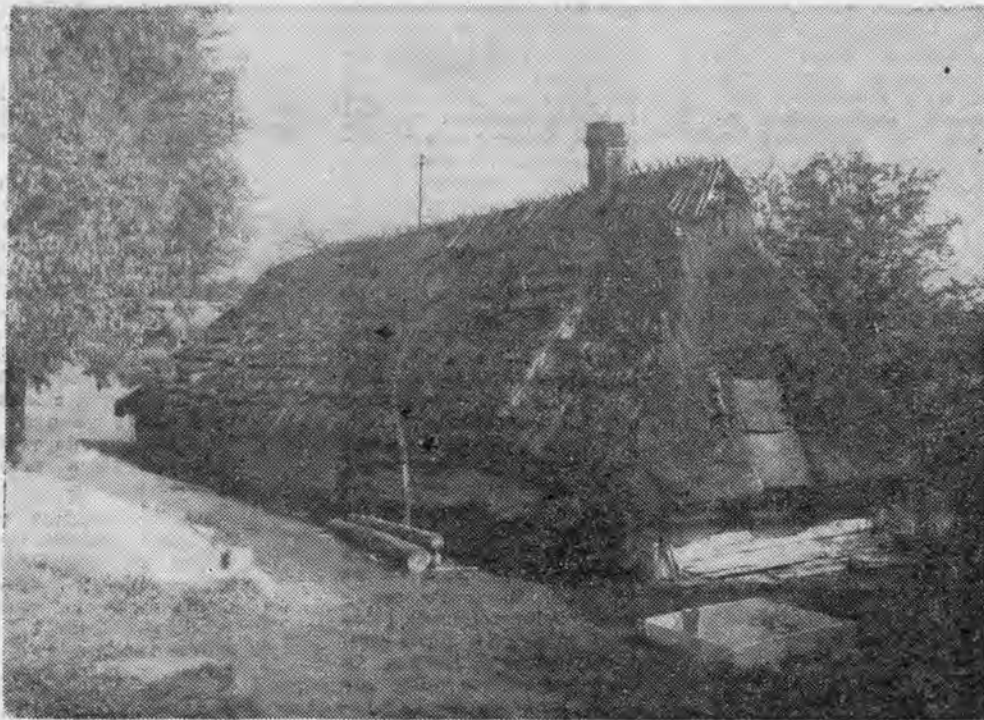
...„Bo oczywiście mój ojciec jest krawcem”. Prawda jest taka, że był krawcem — dziś jest już tylko fragmentem człowieka, zamkniętym w zakładzie dla umysłowo chorych, nafaszerowanym denaturatem. Zostało po jego zawodzie wspomnienie i piękna, lśniąca maszyna z „opieki społecznej” starannie pozamykana — jedyny przedmiot luksusu, porządności; została trójka młodych ludzi, z których jedno tę pracę domową napisało jako zadanie z VII klasy szkoły wieczorowej, do której udało się dobić 17-letniemu chłopakowi po wielu trudach i przy wybitnej pomocy inspektora społecznego.

Rzeczywiście nie więcej nie ma w tym mieszkaniu nad opisane przedmioty. Z innych atrybutów rodzinnych jest teraz spokój, noc przeznaczona na sen, nie cuchnie skażonym spirytusem, szesnastoletnia dziewczyna kończy VI klasę szkoły wieczorowej i już nie zasypia na lekcjach; wszyscy powoli odwykają od libacji, w których kiedyś uczestniczyli, a matka o rozbieganych oczach powtarza monotonię: „pokończą szkołę — to będzie inaczej, będzie inaczej, jak pokończą szkołę”. Wierzy w tę szkołę jak w Pana Jezusa z obrazków na ścianie i choć 7 klas w wieku jej dzieci niczego nie rozwiązuje, to i tak sukces. Dla kogo? — Dla inspektora społecznego, który od paru lat zajmuje się tym domem, wyjaśnia, pomaga, interweniuje, gdzie trzeba, uczy zupełnie podstawowych pojęć i bardzo być może, że wyuczył matkę i tej wiary, monotonię wyznawanej.

Widziałam takich domów kilkanaście. I jeżeli dwa pierwsze przerażały przede wszystkim moje poczucie estetyki, w następnych — zaczęłam dostrzegać coś innego — nazwałabym to uciechą z rzeczy pozornie małych; brzydota zeszała na plan dalszy przed analizą faktów.

Są bowiem ludzie bardzo winni i bardzo bezradni; czasem te dwa stany łączą się ściśle; przeważnie — oba wypływają z nieumiejętności pedagogicznych tak wielkich, że śmieć je nazwać ciemnotą; często — to upór, brutalność, fałszywie pojęte obowiązki wychowawcze; często — jeden spartaczony wychowawczo krok ściąga lawinę przegranych. A przegrani zawsze są młodzi.

Toteż dla nich właśnie wyłoniło spośród siebie garstkę uczciwych ludzi z doświadczeniem, którzy dzięki energii, poświęceniu i nade wszystkim dobrej woli, walczą z plagami bezmyślności, nietolerancji, głupoty, podłości i niezaradności ojców rodzin. Praca tych ludzi w pierwszej chwili przy-



Odrzykoń: chałupa z XVIII w., przeznaczona do MBL w Sanoku.

Fot. JERZY SZANDOMIRSKI

wego w mieście, inżynierowie natychmiast uzupełniali, że na wsi, gdzie obowiązuje obecnie planowa zabudowa, też nikt już nie będzie powracał do zagrody, nawet tak obszernej i funkcjonalnej jak pokazana na fotowystawie chałupa z Odrzykonia; bardzo długa, z wyłką, czyli stryszkciem ukrytym pod strzechą, z oknem tak przemyślnie obudowanym, że promień światła niezawodnie padał przezeń na warsztat tkacki ustawiony wewnątrz izby. To domostwo z Odrzykonia, pochodzące z końca XVIII wieku, posiada zrąb z grubych kłociów i wiele jeszcze innych znamienych dla dawnego budownictwa wiejskiego elementów.

Albo stare domki podcieniowe z Kalwarii Paclawskiej, do których trzeba brnąć okropnie złą drogą, lecz trud oplaca się sowicie. Chałupa z podcieniami z Niebocka znajduje się w sanockim MBL, będzie więc bardziej dostępna zwiedzającym.

Ależ to istny fresk z Farris — wykrzyknął ktoś oglądając fragmenty polichromii z zabytkowej cerkiewki. Fragment z Chotyńca ukazuje diabła ze wszelkimi akcesoriami „diabolicznego” fachu, z rogami, ogonem.

Czekałam w hotelowym pokoju o szafranowych ścianach. Cały dzień tkwiłam bezczynnie w fotelu obok telefonu wlepiając oczy w czerni aparatu. Miał mnie ranek rozedrgany śpiewem ptaków, przeszło południe cie-

Czekałam myśląc: ...to jest jak smak lekarstwa. Potem przyszła noc. Igielki chłodu kłuły moje nogi, ręce. Nie mogłam zliczyć minut na pograniczu snu, kiedy rozdzwonił się telefon.

— Jakże zwiedzę miasto w ciemności — zapytałam, gdy przystanęliśmy.

— Ciemno? — śmiech dźwięczał na dnie słów. Zabiliśmy dzień proszę pani. Tak, to ja zrobiłem, najlepszy z przewodników, nie chcę, aby pani widziała brzydotę mego miasta. Mam jednak jego serce, proszę. — Wyciągnął do mnie ręce i ujrzałem w jego dłoniach przedmiot pulsujący ciepłym blaskiem.

— Nie chcę! — krzyknęłam — nie chcę i odepchnęłam go. Przedmiot upadł, świecił jak niedopatek, gaś u moich stóp.

— Nie chce pani...?

Daleko gwizdał pociąg, gwizd narastał, obejmował mi głowę obręczą, rozblyskiwały światła lokomotywy, dudniły koła.

BOGUMIŁA GRZĘDZIŁSKA

MIASTECZKO

plymi krokami słońca, wieczór powlekił szyby emalią zachodu. Czekałam słysząc jedynie cierpliwą bieg zegarka. Niedługo minie czas, wiza stanie się bezużytecznym świstkiem papieru, będę ją mogła wyrzucić za okno, opadnie na bruk, przejdą po niej stopy... stopy...

— Pan się spóźnił, przewodniku — powiedziałam w membrań — już noc. Moja wiza... — ...została sprolongowana. Zatawiłem to pani. Proszę zejść na dół. Czekam przed domem. Słizmy szybkim krokiem. Palce przewodnika zaciskały się na moim ramieniu.

ludzkie

NEWYZNACZONYCH GODZIN

Krystyna Świerczewska

pomina potężny głaz Syzyfa, lecz ni z nazwy, ni z działań syzyfową nie jest. Toteż o niej będzie dalej. O pracy kuratorów społecznych, inspektorów społecznych i opiekunów terenowych, którzy swoją funkcję pełnią tylko dlatego, że istnieją problemy alkoholizmu, nierządu, że istnieją sądy dla nieletnich przestępców, że dom poprawczy jest karą stosowaną jako ostateczność, że młodociani przestępcy nie są młodzieżą straconą, że istnieje cała sfera skomplikowanego zła, któremu c z a s e m da się zaradzić. Społeczna funkcja tej pracy zatem — czyni ją godną publicznej prezentacji.

Nie jest wynikiem przypadku, lecz rzeczywistego powołania, że gromadka rzeszowskich inspektorów i kuratorów społecznych, to en gros emerytowani nauczyciele, ludzie starsi wiekiem, mądri doświadczeni. Tak jak nie jest wynikiem przypadku, lecz rzeczywistego obrazu sytuacji, tytuł mego artykułu; ta praca nie zna godzin wyznaczonych; może zacząć się ze świtem — skończyć późną nocą. Bywa i tak, że działania profilaktyczne — inspektor-skie, które są wtedy, gdy jeszcze prawo nie zostało naruszone przez małoletnich, lecz cała skomplikowana otoczka rodzinno-środowiskowa taką możliwość sugeruje, zbiega się w pracy jednej osoby (z 11 osób skupionych wokół rzeszowskiego Wydziału Sądu dla Nieletnich) z działalnością kuratorską, a więc taką, gdzie prawo już wkroczyło wyrokiem; bywa, że te dwie społeczne funkcje łączą się z trzecią — terenowego opiekuna społecznego, który bezpośrednio podlega Wydziałowi Zdrowia i Rent w Radzie Narodowej — i wtedy, sądzę, rozwinąć można najpełniejszą pomoc, poznać najpełniej mechanizmy rodzinne.

Jeśli powiem, że jest ta praca najwdzięczniejszą z prac — to poprzę mnie wszystkie Baśki, Pawły i Hanki, którzy osiągnęli pełnoletność spokojną, ustabilizowaną, oczyszczoną z wysoków; jeśli powiem, że jest najniewdzięczniejszą — to poprzę mnie ci, którzy nie mogą spokojnie

przejsć ciemnymi ulicami, którzy są narażeni w lokalach publicznych na impertynencje smarkaczy, którzy nocą przechodząc obok starego cmentarza wypuszczają pijane pary, którzy w kinach słuchają cmokania i brudnych sformułowań, poprzę mnie milicjanci zażenowani szamotawiną z długowłosą falangą nierobów, którzy nie uczą się, nie pracują i nie są posiadaczami żadnej legitymacji, koniecznej wszak w utrzymaniu ładu społecznego, w ustawieniu każdego na jego własnym, nienaruszalnym miejscu. Jeżeli powiem, że praca ta wymaga silnej woli — niechże przykładem będzie tu ta osoba, która z funkcji kuratora po miesiącu zrezygnowała, przyłoczona faktami bynajmniej nie radosnymi.

I dodam jeszcze, że nie ma miejsca w tym zawodzie społecznym na filantropów — lecz czeka się na ludzi z inicjatywą, ludzi silnych doświadczeniem własnym, mądrych umiejętnościami, nabytą w przeżytych latach w rozwiązywaniu konfliktów.

Mają tu bowiem do czynienia z ojcem zastraszonym, który synowi kupuje bilety do kina, stoi godzinami w kolejce i słyszy w miejsce „dziękuję” — „jakieś miejsce kupił stary dziadu”, jest i ojciec, który powiada: „nie interesuje mnie ten szczeniak, bom się już dość natłumaczył i nawet mnie nie przeprosił”. Jest matka, która nagania dziewczynę do nierządu, jest dziecko, które jak dziki, nieoswojony kot musi zagrzewać cudze kąty, bo w domu są panowie przygodni, jest staruszka bez rodziny, która udając nędzę zbiera paczki i datki „opieki społecznej”, a kiedy umiera, znajduje naonczas rodzinę, bo ta z kolei dziecięcy uzbierane przez nią 80 tys. złotych; tak jak jest staruszka, która z piwnicy zawilgoconej nie przeniesie się do suchego wieżowca tylko dlatego, że tu miała nieść się się urodzić i tu chce skończyć żywot. Jest więc ludzkie nieszczęście zawinione i niezawinione. Jedynym lekiem na nie jest obcy człowiek, który powinien umieć

Jest wreszcie dwóch chłopaków, o których opowiem. Jeden z nich nazywa się np. Marek, a drugi Jan. Marek jest ładny i w tej chwili szczęśliwy. Kiedyś, gdzieś kogoś uderzył; kogoś na tyle nietykalnego, że rzecz wydała się światoburczym przestępstwem. Marek wierzył wtedy w siłę, w kocharne dziewczyny, w gromady wrogów, które osaczają młodzież. Ojciec go nie chciał widzieć, matka płakała. Kurator społeczny przeszedł z Markiem piekło. Nie pobilzał, nie chwalił na wyrost, nie opowiadał bajek dla grzecznych dzieci. Kiedy Marek podskakiwał — proponował mu pójście na pobliski stadion Resovii, by mógł zdobyć tam większą publiczność... Ironizował, żartował boleśnie, umniejszał wagę czynów ładnego osiłka. I go nił do pracy. Marek ma 21 lat, ujmujący uśmiech, zawód technika i rozeznanie czynu. Kiedy się nie uczył — właśnie kurator powierzył mu funkcję płatną nad nauką wykolejonych, późniejszych dzieci, mających do czynienia z sądem dla nieletnich. Kiedy r. u. było za dobrze w uczniwym domu — właśnie kurator brał go z sobą na obchód tych domów, gdzie obiad jest wydarzeniem sporadycznym.

Spotykam go dziś i rozmawiając z nim, muszę pamiętać słowa tego starego zbuntowanego: „dużo trzeba czasu, by działanie poprzez siłę zamienić na działanie poprzez rozum”. I podziwiam tę zgodność zapatrywań z obcym człowiekiem — kuratorem, który dziś przestał sprawować nadzór i jest tylko (?) przyjacielem.

Jana nie znam — o Janie słyszę tylko opowieść kuratora — emerytowanej nauczycielki. Jan się nie uczył; kurator znalazł mu zajęcie jednolite, drugie, trzecie. Jan grymasił, ale do Jana docierała potrzeba takiego zajęcia. Trochę trzepał dywany, trochę sprzątał piwnice, trochę pomagał ogrodnikowi. I zawsze powracał do domu nauczycielki — kuratora; czasem, żeby przesiadzić jej starą palmę w żyzną ziemię, a raz nawet, ubrawszy pierwszy garnitur za swoją pensję, żeby zaprosić do cukierni. Dziś Jan się uczy i pisze listy, które nau-



Fot. J. LIGEŻA

czycielka składa pieczołowicie.

A w tym samym czasie tłumaczy Romkowi, zaplątanemu w błędne koło dwóch uporów: rodzicielskiego, że rodzic kupi ubranie, jak syn pójdzie do szkoły i własnego, że pójdzie do szkoły, jak rodzic kupi ubranie. Tłumaczy, że może wystarczą same spodnie, na które ona, raz popełniając filantropię wyłożyła własne 100 złotych? Romek idzie do szkoły — rodzice ubrania nie kupują, choć za spodnie, nieco zawstydzeni, zwracają. Upór, nieistotne spodnie — mogą się stać przyczyną zmarnowanego życia. Ileż więc taktu, mądrości i przemysłowości te spodnie wymagają...

Nie raczę was opowieściami biblijnymi, bo sama nie lubię, kiedy życie zbyt słodko chce mi ktoś zarekomendować. Ono bywa nieprzyjemne, złe, autentycznie straszne. I często przykro mi, kiedy ktoś usiłuje mnie wzruszyć, a ja wzruszona bynajmniej się nie czuję — czując w zamian trochę niesmaku i taniej pedagogiki.

Obchód z inspektorami i kuratorami społecznymi wzruszył mnie, wstrząsnął mną, nawet przeraził. Widziałam ślicznych chłopców i piękne dziewczyny, i obwalone krostami dzieci, ojców debilów i ojców przepełnionych jak balony powietrzem — złą wolą; widziałam ludzi wdzięcznych kuratorom i niechętnych ich pracy; zadufków i histeryków,

głęboko nieszczęśliwych i bezwartościowych dran. I przez cały czas zastanawiałam się, co by było, gdyby pozostawić ich własnemu poczuciu odpowiedzialności za życie tych, do których urodzenia się przyczynili?

Opowiedziałam tu rzeczy złe i dobre. Bardzo niepiękne i nieludzkie. I bardzo człowiecze. Wiem, że człowiek może brzmieć dumnie; czasem jednak brzmi bardzo zwierzęco. I nie opowiedziałam nic nieprawdziwego. Znają to kuratorzy społeczni: panie — Kuśnierz, Kordzik oraz pan Schossler. I jeżeli zdarzy się, że moje opowieści przyczytają ich podopieczni — powiedzą, że je bardzo stonowałam i w złym, i w dobrym; ale reportaż o życiu jest tylko literaturą, słowem pisanym; zaś samo życie zna przypadki o wiele bardziej skołunione etycznie.

Nie wiem, czy jest jakiś sens, by uogólnić bardziej te komplikacje, które dzięki pracy społecznej starszych ludzi udawało się wyprostować lub, z powodów od nich rzeczywiste niezależnych, sprostowane być nie mogły. I niechże słowa pani kurator Kordzik, że „bodał jedno życie dziecka wyprostowane” — stanowią najgłębszy sens tych opowieści, cel społecznej pracy, która bierze początek w poświęceniu, a nade wszystko w potrzebie. Z którą trzeba nam wreszcie było się kiedyś zapoznać.

ROCZNIKI

(dokończenie ze str. 1)

do materiałów źródłowych i gromadzenia wszystkich danych, które mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie dla tematu rozprawy. Do takich niewątpliwie należy praca Józefa Stachowicza „Oświata, kultura i język Jaćmierza i Bażanówki”, Wojciecha Sołtyśa „Stosunki ziemi sanockiej z południowym sąsiadem w świetle rejestru złoczynów grodu sanockiego”, Edwarda Zajacę: „Przyczynki do dziejów reformy rolnej w powiecie sanockim w latach 1944—1947” czy także Wojciecha Sołtyśa: „Historia zespołu szkół mechanicznych w Sanoku”. Prace te przynoszą wie le cennego materiału dla dziejów regionu, mimo iż ich autorzy zajęli się bardzo wąskim wy cinkiem życia. Inne publikacje mają nieco szerszy zasięg i wykraczają swym znaczeniem poza sprawy sanockie. Taki np. charakter ma praca Aleksandra Codello o działalności Juliana Goslara w Sanockiem w latach 1845—1848. Autor w oparciu o odczyty i utwory poetyckie Goslara ukazuje jego rewolucyjne poglądy

i żywą aktywność działania w organizacji zbrojnego powstania w 1846 roku. Jak się okazuje postawa i działalność Goslara znalazł żywy oddźwięk w ziemi sanockiej, skoro po jego uwięzieniu przeżywało razem z nim w kazamatkach fortecy w Szpilbergu 35 więźniów z Podkarpacia. Dr Codello zebrał i opublikował bardzo mało znane teksty wierszy i piosenek Goslara, świadczące nie tyle o jego talencie literackim, ile o jego radykalizmie społecznym. Te utwory zbliżają jednak czytelnikowi postać wybitnego rewolucjonisty, ukazują go w nieco innym wymiarze.

Bardzo dużo ciekawego i źródłowego materiału przynosi rozprawa Feliksa Kiryka i Tadeusza Kowalskiego: „Zarys dziejów ruchu ludowego w powiecie sanockim do roku 1931”. Autorzy oparli się na prasie ludowej z tych lat, na wspomnieniach opublikowanych i nie opublikowanych działaczy ludowych, na materiałach archiwalnych i nawet na ustnych żyjących uczest-

ników tych wydarzeń. Wybiegają często poza teren sanocki swymi relacjami, dzięki temu obraz rozbicia, a później jednoczenia się ruchu ludowego jest dość rozległy i stanowi ważne ogniwo dla dziejów chłopskiej świadomości politycznej w całym kraju.

Niezwykłe pożyteczne są prace Mieczysława Przystasza i Edwarda Zajacę o powiecie sanockim w latach 1939—1947 i o stratach ludnościowych i materialnych pow. sanockiego w okresie okupacji hitlerowskiej. Sądzę, że tego rodzaju próby rzetelnego bilansu winny pojawić się w każdym powiecie. Bardzo cenny jest również w pracy Mieczysława Przystasza szczegółowy obraz działania na terenie sanockim nacjonalistów ukraińskich i późniejszej band UPA. Tak szczegółowej relacji, nawet z dokładnym rozszyfrowaniem dowodów oddziałów faszystowskich i ważniejszych działaczyOUN, nie publikowano u nas dotąd.

Znakomitą lekturę stanowi artykuł Adama Fastnacza: „Bieszczady w relacjach pamiętnikarskich z XIX wieku”. Z pamiętników, które przytacza autor (Staszica, Fredry, Kaczkowski, Pola Lysakowski, Smarzewski) wylania się żywy i barwny obraz tej krainy tęt-

niącej kiedyś życiem i urzekającej urokami krajobrazowymi wielu pisarzy i poetów. Autor zilustrował pracę interesującymi XIX-wiecznymi rysunkami z tego regionu.

Warto wymienić również monografię historyczną małego miasteczka Bukowska, pióra Feliksa Kiryka, obejmującą okres od 1795—1914 roku.

Nie mam, jak już wspomniałem, możliwości omówienia wszystkich rozpraw z opastęgo, bo liczącego przeszło 400 stron tomu. Nie ulega wątpliwości, iż „Rocznik Sanocki” jest wydawnictwem cennym — spełnia ważną rolę w rozwoju aktywności kulturalnej i naukowej powiatu, a swoim poziomem znacznie przewyższa inne tego typu publikacje na Rzeszowszczyźnie. Szkoda jedynie, że wydawcy rocznika muszą pokonywać tak wiele rozmaitych trudności w swej pracy, iż tyle trudu kosztuje wydanie każdego tomu. Wiadomo, iż niesłychanie trudno wygospodarować fundusze na tę akcję, że większość prac wykonuje się społecznie. Autorzy nie otrzymują prawie

żadnych honorariów za swe rozprawki — wkładają niezwykle dużo ofiarności i trudu dla korzyści swego środowiska. Potrzebna jest im koniecznie życzliwość, poparcie i pomoc, jeśli nie finansowa to organizacyjna ze strony władz powiatowych. Tymczasem sekcja wydawnicza Tow. Rozwoju i Upiększenia Miasta Sanoka, która wydaje Rocznik, nie cieszy się nawet pełnym poparciem i życzliwym zainteresowaniem samego Towarzystwa. Władze miejskie i powiatowe również dość obojętnie przechodzą obok wysiłku garstki ludzi, którzy często mieszkają poza Sanockiem, jak np. dr Adam Fastnach (Wrocław) czy dr Feliks Kiryk (Kraków), i na swych barkach dźwigają ciężar pożytecznego przedsięwzięcia. Warto, by taka impreza wydawnicza była ambicją i przedmiotem troski większego grona działaczy — by nie zniknęła z pola uwagi ojców regionu. To jest najlepsza legitymacja poziomu kulturalnego i aktywności twórczej dla powiatu.

923 prace 85 twórców

Wiadomo powszechnie, że wyroby naszego przemysłu ludowego i artystycznego nie zawsze przedstawiają jakość pierwszego gatunku. Wystarczy choćby zaglądnąć do pierwszej z rzędu placówki rozprawiającej ten towar, aby się o tym przekonać. Wychodząc z założenia, że trzeba szukać nowych wzorów. Zrzeszenie Chałupników i Wytwórców Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Krakowie ogłosiło konkurs na pamiątkarstwo regionalne dla mieszkańców województwa rzeszowskiego.

Ostatnio nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszono jego wyniki. Sąd konkursowy, w skład którego wchodził przedstawiciel Wydziału Kultury Prez. WRN w Rzeszowie, Muzeum Okręgowego, Okręgu ZPAP, Regionalnego Biura Sprzedaży w Krakowie oraz organizatora, pod przewodnictwem prof. UMCS w Lublinie, kierownika Pracowni Badania Sztuki Ludowej PAN w Krakowie dr. Romana Reinfussa miał niełatwe zadanie. Rozpatrzono ogółem 923 prace, nadesłane przez 85 osób, w tym 57 twórców ludowych, 25 amatorów i trzech artystów plastyków. Warunki konkursu spełniało 451 prac — były więc czystymi wytworami ludowymi lub stanowiły adaptację wzorów regionalnych, reprezentując równocześnie wysoki poziom artystyczny i techniczny.

I nagrodę otrzymała Stanisława Kotowicz z Zarzecza, pow. Rzeszów za interesującą adaptację czarnych i czerwonych haftów lasowiackich w serwetach. Nagród II przyznano aż 20, III — 7, IV — 9 oraz 5 wyróżnień. Wśród drugich nagród znalazły się m. in. liczne prace z zakresu ceramiki, pieczywo obrzędowe nowe projekty rozwiązań pionków szachowych itp.

Większość nagrodzonych prac trafi do wzorcowni „Cepelia”, stanowiąc podstawę do zamówień u wykonawców. Można mieć nadzieję, że ich kopie w krótkim czasie trafią również do rzeszowskiego sklepu „Cepelia”.

I jeszcze jedna informacja. Nagrodzone prace można obejrzeć na „pokazie pokonkursowego pamiątkarstwa regionu rzeszowskiego oraz produkcji „Cepelia”, który został zorganizowany w lokalu rzeszowskiego „Miastoprojektu” przy ul. Szopena 51.

(stanski)

Emilian Bliźniak

Z dziejów okupacyjnego szkolnictwa

Na ten temat ukazało się już kilka rozpraw w formie wydawnictw książkowych oraz cały szereg artykułów popularnonaukowych drukowanych w różnych czasopiśmie. Wszystko to jednak nie zamyka ostatecznie dotychczasowych prac badawczych, m. in. również jeśli idzie o teren woj. rzeszowskiego.

Być może w niedalekiej przyszłości, któryś z rzeszowskich historyków pokusi się o opracowanie dziejów okupacyjnego szkolnictwa w tym i tajnego nauczania nie tylko na terenie miasta i powiatu rzeszowskiego, ale i całego województwa. Chciałbym dzisiaj, zwłaszcza że zbliża się Dzień Nauczyciela nawiazać jeszcze raz do lat okupacji hitlerowskiej i wspomnieć o tych, którzy w historii polskiej oświaty okupacyjnej odegrali niepoślednią rolę. Oni to właśnie z narażeniem własnego życia starali się w miarę swych możliwości dać młodzieży to, czego nie mogli jej dać oficjalne programy oraz ratować ją przed zniszczeniem fizycznym i upadkiem moralnym.

Oczywiście przystępując do omówienia tego tematu mam na myśli nie tylko tajne nauczanie, które w historii okupacyjnego szkolnictwa stanowi szczególnie ważny rozdział, ale również i nauczanie podejmowane początkowo samorzutnie przez polskie nauczycielstwo w wielu miejscowościach, a później usankcjonowane z konieczności przez okupanta odpowiednimi rozporządzeniami.

Obie te formy nauczania miały ze sobą ściśle powiązanie, gdyż w przeważającej większości ci sami

nauczyciele, którzy pracowali w szkolnictwie jawnym, organizowali na swoich terenach tajne nauczanie, tak na szczeblu szkoły podstawowej, jak i szkoły średniej.

Historia polskiego jawnego szkolnictwa w okresie okupacji hitlerowskiej, tak podstawowego, jak i zawodowego całkowicie związana jest z terenami wchodzącymi w skład Generalnego Gubernatorstwa utworzonego 26. X 1939 r. przez okupanta z reszty nie wcielonych do III Rzeszy ziem polskich.

Ten twór administracyjny potraktowany został jako rezerwuariat siły roboczej. Aby mógł on należycie funkcjonować, okupant musiał z konieczności, mimo prowadzenia polityki zmierzającej do totalnego wyniszczenia kultury polskiej, uwzględnić w ustawodawstwie niemieckim przeznaczonym dla Generalnego Gubernatorstwa problem szkolnictwa podstawowego i zawodowego.

Pierwszym aktem prawnym w sprawach szkolnictwa w Generalnym Gubernatorstwie było rozporządzenie gubernatora Hansa Franka z dnia 31. X 1939 r. zamieszczone w Dzienniku Rozporządzeń dla Generalnego Gubernatorstwa, „Verordnungsbblatt für das Generalgouvernement” nr 3, s. 18.

Jeśli idzie o strukturę organizacyjną tegoż szkolnictwa, to znalazła ona odbicie w tym samym Dzienniku Rozporządzeń tylko z dnia 29. IV 1941 w nr 41 s. 265. Pozwalał więc okupant na funkcjonowanie polskich szkół podstawowych i zawodowych, ale nie w ich przedwojennej postaci. Ze szkół tych usunięto przedmioty ogólnokształcące — humanistyczne, które wiązały ucznia z tradycją narodową i kształtowały postawę patriotyczną młodzieży, pozbawiając w ten sposób szkolnictwo charakteru narodowego.

To, czego jednak, jak wspomniałem na wstępie, nie uwzględnił w swoich programach okupant, uzupełniło polskie nauczycielstwo częściowo w jawnym, a całkowicie w tajnym nauczaniu.

W dniu agresji hitlerowskiej na Polskę, tj. 1. IX 1939 r. na terenie rzeszowskiego „obwodu szkolnego”, w skład którego wchodził cały powiat rzeszowski, kolbuszowski oraz miasto Rzeszów znajdowało się 198 szkół podstawowych, w których zatrudnionych było około 650 nauczycieli, z czego na miasto Rzeszów przypadało 8 szkół i 85 nauczycieli, a na powiat rzeszowski 137 szkół i 468 nauczycieli.

We wszystkich tych szkołach podstawowych naukę podjęto do końca października początkowo w oparciu o program z lat międzywojennych. Ponadto nieco później na terenie m. Rzeszowa i powiatu zorganizowano 8 szkół zawodowych i kilkanaście rolniczych.

W listopadzie przystąpił Niemcy do przeorganizowania szkół w myśl wymienionego już wyżej rozporządzenia Hansa Franka z dnia 31. X 1939 z zastosowaniem „swoich szyszan” — jak pisze w swoich wspomnieniach wielki patriota i zasłużony pedagog p. Eugeniusz Szwarz.

W zasadzie jednak w stopniach organizacyjnych szkół nic się właściwie nie zmieniło, zmieniły się tylko programy i władze oświatowe. W miejsce dawnego inspektora szkolnego początkowo opiekę nad szkolnictwem sprawował oficer wojska niemieckiego Sollich Georg, prawdopodobnie nauczyciel szkoły podstawowej ze Śląska. Opieka ta jednak miała początkowo charakter bardzo ogólny. Dopiero w styczniu 1940 r. utworzyli Niemcy jednostkę administracyjną do spraw szkolnictwa jako tzw. Oddział III Starostwa (Abteilung III) — przemianowany w 1941 r. na tzw. „Urząd Szkolny” (Schulamt) z inspektorem szkolnym (Kreis-schulratem) Krauzem na czele.

Schulamt bezpośrednio podlegał ówczesnemu staroście (Kreishauptmannowi) dr Ehsanowi, oficerowi gestapo, człowiekowi, jak piszą w swoich wspomnieniach dwaj zastępcy działacze oświatowi p. Eugeniusz Szwarz i p. Andrzej Grochal — „o instynktach krwiożerczych w stosunku do Polaków i Żydów”, „lotrowi i polakożercy”. On to właśnie był inicjatorem wszystkich

akcji skierowanych przeciwko polskiemu nauczycielstwu, jako tym, którzy byli jedną z głównych przeszkód dla hitlerowskiego okupanta, zmierzającego do totalnego wyniszczenia kultury polskiej.

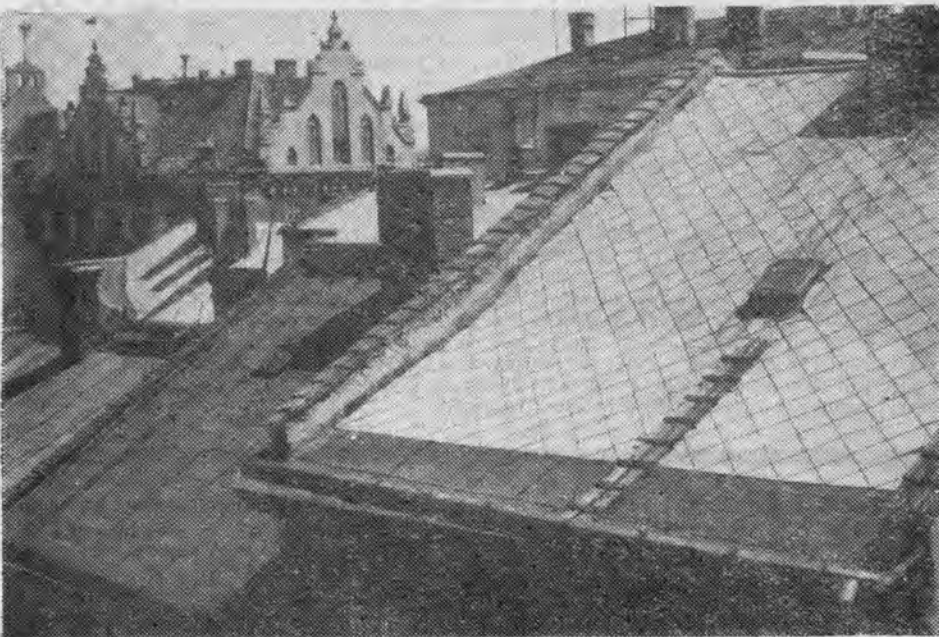
Musiali więc polskie szkoły podstawowe i zawodowe pracować w niezwykle ciężkich warunkach. Brak było pomocy naukowych, ogromna ciasnota lokalowa, szczególnie na terenie miasta spowodowana zarówno rekwizycjami budynków dla wojska i cywilnych władz niemieckich, jak i zniszczeniami wojennymi. Personel oświatowy spotykał bezwzględne represje ze strony okupanta. Mimo to nauczycielstwo nie załamało się, nie tylko się broniło wszelkimi sposobami i środkami przed niszcząca działalnością okupanta, ale broniąc się przystąpiło do zorganizowanej kontratak na odcinku oświatowym i politycznym w konspiracji. Uratowano wiele bibliotek szkolnych, pomocy naukowych, podręczników do nauki historii, geografii itp. Do dzisiaj jeszcze żyje i pracuje w Szkole nr 9 w Rzeszowie nauczyciel Józef Wojdanowski, który ukrył wiele cennych pomocy naukowych, a po wojnie wrócił do Szkoły nr 8 (im. Jachowicza). Panu Eugeniuszowi Szwarzowi i pani Helenie Dubiel zawiązujemy, że uratowano znaczną część akt szkolnych znajdujących się w Schulamcie. Ponadto p. inspektor Szwarz (obecnie już na emeryturze) należy do grona tych pedagogów i działaczy oświatowych, którzy w głównej mierze przyczynili się do odbudowy szkolnictwa na terenie miasta i powiatu rzeszowskiego zaraz po wojnie.

Osobnym rozdziałem w historii okupacyjnego szkolnictwa było, jak już wyżej wspomniałem, tajne nauczanie w latach 1939—1944. Była to jedna z form samoobrony i antyhitlerowskiego ruchu oporu w Polsce, szczególnie w Generalnym Gubernatorstwie podczas II wojny światowej. Organizatorami tajnego nauczania byli działacze Związku Nauczycielstwa Polskiego, tacy jak Wycech, Tułodziecki, Wojęński, Maj, Nowicki. Oni to powołali do życia tajną organizację nauczycielstwa (TON), na której czele stała tzw. „piątka” z wyżej wymienionymi działaczami.

„Piątka” istniała też w województwach i powiatach. Rzeszów wraz z powiatem organizacyjnie podlegał pod okręg krakowski. Do organizowania tajnego nauczania przystąpiono jesienią 1940 r. Zgodnie z instrukcją władz okręgu powołano do życia Powiatowy Komitet Oświaty i Kultury z zamierzonym przez hitlerowców Rudolfem Aurigą na czele. W skład rzeszowskiej „piątki” i komitetu wchodził ponadto tacy zastępcy nauczyciele, jak Andrzej Grochal, któremu powierzono oświatę dla dorosłych, dyr. Stanisław Jachimowski kierował sekcją gimnazjalną, dyr. Reitmajer miał pod opieką szkolnictwo zawodowe, Władysław Ulewicz był skarbnikiem komitetu. W skład komitetu wchodził również zamierzony podobnie jak Auriga — Leon Łabaj, który zajmował się kolportażem książek i instrukcji w teren. Stały kontakt z okręgiem utrzymywał początkowo Rudolf Auriga, a po jego śmierci — Ludwik Wójcik i Józef Rohloff.

Jeśli idzie o strukturę organizacyjną tajnego nauczania to wyglądała ona następująco: na terenie powiatu powołano do życia 3 komisje egzaminacyjne: w Białowej, której przewodniczył obecny prof. WSR w Lublinie dr Gabriel Brzęk, w Strzyżowie — której przewodniczyła prof. Anna Hajduk i w Rzeszowie z dyr. Liceum Pedagogicznego Marcinem Waclawem na czele. Ponadto w każdej gminie zbiorowej czynna była komisja egzaminacyjna z opiekunami na czele, z którymi dość często organizowano odprawy w starym budynku przy ul. Moniuszki 4. Do nauczycieli, którzy kierowali pracą w terenie i utrzymywali stały kontakt z Komitetem Powiatowym należeli Stanisław Marczyk z Trzebowniska, Antoni Zabdry z Piątkowej, Stefania Miklasz — Grochalowa z Hyżnego, Roman Rzepa z Przewrotnego, Maciej Indyk z Palikówki, Zygmunt Bednarz z Gwoźnicy Górnej, Tadeusz Świętoń ze Strzyżowa, Aleksander Szczepan z Woliczki i Edward Wilk z Nosówki.

RZESZOWSKIE IMPRESJE FOTOGRAFICZNE



„DACHY” fot. Jerzy Żak

„Rzeszowskie impresje” to tytuł konkursu fotograficznego, ogłoszonego przez Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie i Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne.

Konkurs, który zakończył się w październiku br. miał na celu popularyzację sztuki fotograficznej tematycznie związanej z terenem województwa i miasta Rzeszowa.

Zgodnie z tematem konkursu nadesłano w większości prace nacechowane osobistymi wrażeniami, indywidualnym sposobem fotograficznego odzwierciedlenia rzeczywistości, chwilowym nastrojem twórcy itp.

Ostatnio 7-osobowe jury pod przewodnictwem Zbi-

gniewa Zakrockiego z Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego dokonało oceny fotogramów i podzieliło nagród wśród uczestników konkursu.

Z braku zdjęć w pełni odpowiadających założeniom regulaminu konkursowego (tematyka) — jury nie przyznało I i II miejsca w kategorii fotografii czarno-białej oraz I miejsca w fotografii barwnej.

W rezultacie w kategorii fotografii czarno-białej równorzędne trzy III miejsca zajęli otrzymując nagrody pieniężne po 1500 zł Jerzy Żak — fotogram „Dachy”, Jacek Fischer — „Hutnik” oraz Jerzy Jawczak — „Trzecia nitka kwasu siarkowego”.

Jury przyznało również 3 wyróżnienia po 500 zł fo-

tografikom, Jerzemu Jawczakowi i Jerzemu Żakowi za całość przedstawionych prac w technice czarno-białej oraz Zdzisławowi Postępskiemu za fotogram „Sąsiedki”.

W pozytywnej technice barwnej dwie II nagrody (po 2000 zł) przyznano Jerzemu Żakowi za fotogram „Łańcuch kwiatowy” oraz Zdzisławowi Postępskiemu za pracę „Zamek — sala jadalna”. Trzecią nagrodę (1000 zł) otrzymał Jerzy Olma za zdjęcie „W oczekiwaniu na zachód słońca”.

Nagrodzone, wyróżnione oraz zakwalifikowane do ekspozycji fotogramy zostaną jeszcze w tym miesiącu zaprezentowane na pokonkursowej wystawie.

(J)

W bibliotekach i księgarniach tłoczno. — Czy są „Ludzie bezdomni”? — Proszę „Czerwone tarcze” Moge otrzymać „Skapca”? Tych i wielu innych książek, będących obowiązkową lekturą, nie ma w sprzedaży, brakuje ich także w bibliotekach. W jednej z księgarni byłam świadkiem awantury: rozgryziony klient nawymyślał sprzedawcy i brzydko się wyrażał o nauczycielce, która zagroziła jego synowi dwóją, jeśli „Ludzi bezdomnych” nie przeczyta.

W Kuratorium Okręgu Szkolnego mówiono mi, że miejskie szkoły podstawowe są w stanie zrealizować program nauczania w zakresie lektur. Osobiście nie jestem takim optymistą; wielu uczniów nie przeczytało wymaganych programem książek lub zapoznało się z ich treścią tylko powierzchownie. Natomiast w licznych szkołach wiejskich sytuacja jest wręcz krytyczna; książek nie ma, a ewentualnie jeden egzemplarz w bibliotece szkolnej lub gromadzkiej problemu nie rozwiąże.

Nie lepiej jest w szkołach średnich, których zmieniony program zawiera nowy wykaz lektur. A tymczasem księgarnie w Rzeszowskim blisko stu szkołom dostarczyły zaledwie np. 1300 egz. „Antygony” Sofoklesa, 1200 egz. „Powrotu posła” Niemcewicza, 800 egz. „Wesela” Wyspiańskiego, 150 egz. „Pierwszego dnia wolności” Kruczkowskiego, 130 egz. „Makbeta” Szekspira. Z długiej listy lektur dla klasy I liceum ogólnokształcącego pojawiła się w księgarniach tylko jedna pozycja. Jakże więc w tych warunkach realizować nowy program?

Całe odium za sytuację na rynku księgarskim spada na nauczyciela i szkołę. To nauczyciel znajduje się pod ostrzałem krytyki za stawianie wymagań, którym — ze względów od rodziców niezależnych — uczniowie sprostać nie mogą. Wiele szkół czyni jednak niemałe wysiłki, by zaopatrzyć młodzież w książki; szukają w różnych bibliotekach, organizują międzyszkolną wymianę, a nauczyciele udostępniają własne księgozbiory. Władze oświatowe troszczą się o sprawiedliwy rozdział skąpych nakładów, ale w dwóch powiatach wydziały oświaty „przegapiły” przydział książek, które zamiast do bibliotek szkolnych trafiły na „wolny rynek”.

Lektury, obowiązujące dawniej w szkole średniej, obejmują teraz program nauczania podstawowego; dyrektorzy liceów, choć otrzymali polecenie, wolą tych książek nie przekazywać szkołom podstawowym, gdyż wiedzą, że we wrześniu znowu przyjdą pierwszoklasiści, którzy nie przeczytali np. „Ludzi bezdomnych”. — *Musimy organizować powtórki; Zeromski nie może być młodzieży nieznanym.* Zresztą jedno liceum w powiecie nie obdzieli swym księgozbiorem 100 — 120 szkół podstawowych. Czy w tej sytuacji komitety rodzicielskie lub „trójki klasowe” nie powinny wystąpić z inicjatywą zbiórki lektur? Wprawdzie bibliofil książki nie odda, ale ukazywały się przecież dawniej tania wydania, które figurują w spisie lektur; poszukajmy więc w komórkach czy w pawlacach, **przekażmy te książki szkołom.**

Wspominałem, że podobno nauczyciele dwójami dopingują uczniów do samodzielnego poszukiwania lektur. Informacji tych, z których niejedna brzmiała wprost niewiarygodnie, nie miałem możliwości sprawdzić.

Wiem natomiast, że jakże często uczniowie wykorzystują sytuację na rynku księgarskim jako wygodne tłumaczenie. Znam nawet wypadek, gdy kilku prowodyrów sterroryzowało całą klasę; wszyscy uczniowie solidarnie oświadczyli, że lektury nie przeczytali. Każdy z nich otrzymał ocenę niedostateczną... Znam także liczne wypadki obniżenia ocen na egzaminie wstępnym za niezamówienie lektur.

Wylania się tu istotne pytanie: nowe programy przygotowujemy no kilka lat, dlaczego więc nie pomyślano o zaopatrzeniu szkół w lektury? Komu za brak lektur należałoby więc postawić dwóję? Zamiast odpowiedzi na

Zdzisław Kozioł

DWÓJA Z LEK -TURY

to pytanie, przyjrzyjmy się bibliotece szkolnej. Wydane przed paru laty przepisy pozwalają szkołom wydawać na zakup książek 15,83 zł na jednego ucznia. Szkoła miejska, licząca 1000 uczniów przeznaczą na ten cel 15 830 zł rocznie; za tę kwotę można ostatecznie nabyć sporo nowości, książek nawet drogie, jak słowniki, albumy, encyklopedie. Mają one z reguły bogaty księgozbiór, sięgający kilku tysięcy tomów. Szkoły wiejskie, zwłaszcza małe, dysponują w najlepszym wypadku kwotą 1000 lub 2000 złotych; tym szkołom są absolutnie niedostępne książki droższe.

Jakże często wspomniana norma 15,83 zł — ustalona wówczas, gdy książki były tańsze — zostaje zredukowana do zaledwie 5 zł na ucznia, a ograniczeniem tym częściej podlegają fundusze szkół wiejskich niż miejskich. To jeszcze nie wszystko; nie rzadko zdarza się, że szkoły nie otrzymują pieniędzy wówczas, gdy książki pojawiają się w księgarni. W rezultacie uczniowie wielu szkół wiejskich nie widzieli encyklopedii, nie mają dostępu do innych książek, które ich rówieśnicy w mieście, jeśli nie otrzymają w bibliotece szkolnej, to znajdują w bibliotece publicznej. **Dodatkowy przykład nierównego startu młodzieży wiejskiej.**

Znowu wylania się kwestia skutków decentralizacji zarządzania szkolnictwem podstawowym; gromadzkie rady narodowe skąpią pieniędzy na pomoce naukowe i lektury. Nie pozabawiony jest więc racji postulat, by fundusze te ponownie przekazać do dyspozycji wydziałów oświaty powiatowych rad narodowych. Wydziały oświaty mogłyby odstąpić od sztywnych norm uzależniających wysokość dotacji od liczby uczniów; trzeba dać więcej szkołom mniej zasobnym, zwłaszcza tym, które są jedynymi placówkami oświatowymi na wsi. Wobec tych szkół trzeba także odstąpić od rygorystycznie sformułowanego zarzą-

pomoc świadczona szkole przez biblioteki, szczególnie biblioteki dziecięce.

Te raczej młode placówki są wysoce zasłużone dla oświaty i wychowania, może nawet w większym stopniu niż zwykło się na co dzień dostrzegać. Nie sposób w kilku zdaniach opowiedzieć o ich pracy; zależnie od talentów i inwencji bibliotekarek, podejmują one najrozmaitsze formy pracy z dziećmi, od okolicznościowych imprez, konkursów na przeróżne tematy, wieczorów bajek, na różnego rodzaju kółkach zainteresowań skończywszy.

Sieć bibliotek dziecięcych jest w Rzeszowskim względnie duża, co należy uznać za wielkie osiągnięcie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Opracowany przed kilku laty regulamin przewiduje, że mogą z nich korzystać dzieci do 14 roku życia, a więc uczniowie dawnej 7-klasowej szkoły podstawowej. Ministerstwo Kultury i Sztuki nie uwzględniło zmian w szkolnictwie, lecz biblioteki dziecięce nie ograniczają się jedynie do najmłodszych czytelników; pomyślano o 8-klasistach, coraz liczniej przychodzą tu także licealiści. Jedni w poszukiwaniu lektur obowiązkowych, inni po książki popularnonaukowe, roczniki itp. Jedni z konieczności, bo nauczyciel zadał jakiś temat, inni zaś szukają wiadomości „na prywatny” użytek. Formy pracy ze starszą młodzieżą muszą być jednak inne niż z najmłodszym czytelnikiem; rola bibliotekarki jest tu znacznie trudniejsza, wymaga orientacji w wielu dziedzinach wiedzy.

Biblioteki dziecięce wychowały rzesze czytelników, którym w pełni nie są już w stanie służyć, a biblioteki dla dorosłych nie zawsze mogą czy potrafią zaspokoić ich potrzeby, służyć radą i pomocą. Warto więc pomyśleć o utworzeniu bibliotek młodzieżowych — w większym chyba stopniu potrzebnych niż kluby — bibliotek, które powinny dysponować odpowiednim księgozbiorem, a także realizować przemyślany program pracy z młodzieżą.

Wydania dawnego Ministerstwa Oświaty, które określa, jakie książki mogą się znaleźć w bibliotece szkolnej; zarządzenie zakazuje nabywania pozycji, które młodzież i nauczyciele mogą otrzymać w innych bibliotekach. Uczniom wielu szkół wiejskich są niedostępne inne źródła niż jakże często licząca 200—300 tomów biblioteka szkolna.

Wyeksponowałem ciemniejsze strony obrazu. Wydają się one tym ciemniejsze, jeśli skonfrontujemy je z dorobkiem innych środowisk w zakresie upowszechnienia książki. Mamy na myśli dużą rolę bibliotek publicznych, które wydatnie ułatwiają pracę szkolną. Ogólny rozwój kultury umysłowej ucznia jest znacznie szybszy w tych wioskach, w których znajdują się dobrze wyposażone biblioteki gromadzkie, zwłaszcza jeśli podejmują one pracę z dziećmi.

Nie zamierzam pisać szerzej o bibliotekach publicznych. Wspomnę tylko, że niejedna z nich zabiega o lektury, które oficjalnie nie powinny być im sprzedawane, chyba że szkoły nadziałów nie wykupią. Skąpym zasobem tych książek starają się obdzielić swoich czytelników, m. in. wydzielają lektury do księgozbiorów podręcznych w czytelnich, by młodzież mogła czytać na miejscu. Nie jest to jedyna

Teatr studencki rzeszowskiego SN-u

Interesujący i ambitny teatralny zespół studencki przy Studium Nauczycielskim w Rzeszowie nie spożył na laurach po swoich dotychczasowych osiągnięciach. Przypominamy, iż zespół ten noszący nazwę Teatr Propozycji „Robol” uzyskał w maju br. w Radomiu II nagrodę na ogólnopolskim przeglądzie teatrów studenckich SN-ów, za adaptację sceniczną opowiadania Kazimierza Brandysa — „Wywiad z Ballmayerem”. W obecnym sezonie zespół wystąpił z premierą spektaklu „Wielka miłość”. Jest to adaptacja sceniczną wierszy erotycznych Stanisława Grochowiaka z tomiku „Rozbiernanie do snu” i jego sonetów. Adaptacji dokonał Władysław Czochara i on również spektakl reżyserował. Teatr Propozycji „Robol” gościł już na scenach studenckich w Krośnie i Tarnowie, w przyszłości program jego oglądać będą mieszkańcy Przemyśla i Krakowa.

W maju w 1968 roku zespół zamierza wziąć udział w przeglądzie teatrów studenckich w Poznaniu ze spektaklem „Błękitne miasta” wg powieści Aleksandra Tołstoja również w adaptacji Władysława Czochary.

Ambitny zespół teatralny, jego kierownik i reżyser zasługują na poparcie w swych zamierzeniach, gdyż oddają duże zasługi dla rozbudzenia zainteresowań artystycznych w rzeszowskim środowisku studenckim. Może właśnie młodzież SN-u zapoczątkuje u nas tradycję stałego teatru studenckiego.

Jg



Fot. Andrzej Łokaj

HENRYK KAWIORSKI

STRAŻAK

Było skwarne południe. Słońce piekło tak niemiłosiernie, że góry lały się na ziemie taki żar, że dech w płucach zamykało. Świeżo skoszona trawa wydylała duszną woń, którą wypełniły się bez reszty płuca obojga małżonków. Pierwszy zdecydował się Kazimierz Bielak:

— Czas do domu. Czas, kobieto — powiedział.

Aniela przyniosła wilgotnego siana, ugniotła je kolanami i zawiązała w plachtę. Kazimierz szedł przodem, jakby drogę torując. Niósł grabie, kosę i — za pasem — kubanek z oselką. Lewą nogę miał niedowladną. Idąc kołysał się niezgrabnie, jak kaczką, z łoku na bok. Od dwudziestu lat usiłował przezwyciężyć tę niemoc. Bywało, budził się bardzo rano, leżał cicho w łóżku i myślał:

— Dzisiaj muszę to zrobić. Wydawało mu się, że to jest łatwe, że wystarczy postawić jeden pojedynczy, równy krok, aby ułomność minęła, jak zły sen.

Aniela patrzyła na plecy męża. I na jego śmieszne utykanie. W pewnym momencie wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Minęli łąki i pola. Wyszli na drogę, która w pobliżu pierwszych domów przecinała szosę asfaltową i wiodła dalej, poprzez wieś do mostu na rzecę.

— Kazik — powiedziała.

— Co ci się stało? — zapytał.

— Tak mi się chce płakać. Siadłabym w rowie, położyła głowę na kolanach i płakała, płakała.

Przypomniał sobie pewien dzień ze swojego życia. Była wojna. Chłopaki ze wsi poszli do lasu, do partyzantów. Głośno się zrobiło w okolicy o ich czynach. Aż raz odbili z niemieckich rąk powiatowe więzienie i uwolnili dwustu skazańców. Kazimierz Bielak, który miał wówczas szesnaście lat, nie zastanawiał się dłużej. Wydobyl z strzechy na stodole pociągowskiej, jednostrzałowy gwer, pocalował matkę w chropowatą, twardą dłoń i powiedział:

— Pójdę, mamusiu.

— Idź — rzekła — za ojca.

W deszczowe, pochmurne przedpołudnie uderzyły w las niemieckie działa. Kazimierz siedział w okopie, zaspany do kolan rozkładając glina, zziębnięty, przemoczony, ścisnąjący jednorurkę. Haubice były godzinę. Potem umilkły. Do ataku ruszyła piechota. Kazimierz wychylił się z rowu. Wtem nadciął z wyciem i chichotem zapóźniony szrapnel, odbił się od pnia sosny, spadł na ziemię, rozerwał się i uderzył kawałem metalu w Kazimierzową głowę. Leżał w kałuży krwi, która toczyła się ciurkiem z piękniejęcej czaszki. Przyjaciele, którzy znaleźli go po bitwie, myśleli, że umarł. Chcieli wyjąć mu z zaciśniętej garści pokrzywioną strzelbę. Ale ręka drgnęła, ruszyła się i przyciągnęła do serca broń.

Odniesiono go do cudzej stodoly, na siano. Przytomność odzyskał po dwóch tygodniach. Pozbierał myśli, przypomniał sobie z niemiłym trudem gdzie był i co robił „przedtem”. Młody organizm szybko zwalczal chorobę. Gorączka zmalała, rana zarosła powoli ciałem. Czternastoletnia Aniela, córka gospodarza, przynosiła mu mleko, owoce i jajka. Jej odwiedziny sprawialy mu za każdym razem niezwykłą roz-

kosz. Wkrótce zrozumiał, że kocha tę dziewczynę. Aniela była dla niego dobra. Kochał ją więc tym bardziej, całym sercem. Dowiedział się w międzyczasie, że jego wieś została w połowie spalona przez Niemców i że zginęło wielu ludzi, a razem z nimi jego matka. Wiadomość o jej śmierci przyjął w milczeniu. Jego życie wypełniła inna kobieta, która stała mu się najbliższą na zawsze. Pobrali się w trzy miesiące po wojnie.

Kazimierz ocknął się ze wspomnień.

O godzinie czwartej zawyla przeraźliwie syrena strażacka. We wsi wszczął się gorączkowy ruch. Wydobyl z szafy granatowy mundur, wyczysz-

Pojawily się krzywe uśmieški, pokazywano go sobie brudnymi palcami i wlepiano oczy. Kazimierz chciałby uciec, gdzie pieprz rośnie, zapasć się pod ziemię, zejść niepostrzeżenie z placu, zaszyć się w krzak dzikiej róży i tam przeczekać. Ale bał się poruszyć. Ludzie mogliby zachichotać prosto w plecy:

— Dziwak, czy co? Przebrał się w strażacki mundur i strażacka, pógłówek, udaje. I cóż to za straż pożarna, w której służą inwalidzi! Jakże po prostu zaufać takiej straży? Wstyd i śmiech.

O godzinie siódmej zakończyły się przemowy i dekoracje. Tłumy pękły i rozsypały się po ulicach. Wypełnily się miejscowe knajpy, gospody i



czony popiołem do polysku helm, szeroki pas, buty oficerskie i poręczny toporek. Ubrał się. Biegł kulejąc drogą między domami. Wzbił bčasami kurz. Ponieważ noga rozboleła go, więc zaczął iść. Pocił się. Syrena porykiwała. Dzieci pędziły gromadą w kierunku remizy.

Minął pospólną studnię, wykopaną obok skrzyżowania, minął pagórek, na którym rozbijano podczas świąt wesołą karuzelę. Syrena dawno już umilkła. Starsi gospodarze wrócili z wolna do domów. Kobiety przystawały grupami założyły ręce na obwisłe piersi i gadały jak najęte. Kazimierz spotkał krewnego. Zapytał go:

— Odjechali do miasta.

— Ano... Taka uroczystość. Musieli się spieszyc.

— Wszystkie furmanki? Wszyscy strażacy?

— Tak.

— Nie zaczekali na mnie...

Krewny uściśnął mu ze współczuciem dłoń. Kazimierz zawrócił. Oficerki uwierały go, spod helmu ściekał pot i zalewał mu oczy. Toporek wbijał się bolesnie w lewy bok. Ale najbardziej gorzkie wydawały mu się spojrzenia przechodniów. Odnajdywał w nich wyrzut i cichą drwinę.

Przyjechał do miasta autobusem. Uroczystość oficjalna miała się właśnie ku końcowi. Jeszcze tylko na placu przed budynkiem prezydium powiatowej rady narodowej rozdawano przodującym strażakom dyplomy, odznaki i nagrody pieniężne.

Kazimierz wcisnął się w tłum gapiów. Niektórzy, widząc mundur, ustępowali mu miejsca sądząc, że ten człowiek pragnie dostać się do zwartego szeregu swoich. Rychno jednak dostrzeżono jego dwuznaczna sytuację i rumieniec wstydu na policzkach.

cukiernie. Ekipy strażackie pociągły szeregami na łąki za miastem. Za nimi dorodził i dzieci.

Kazimierz dołączył ukradkiem do właściwej drużyny. Tak przy tym lawirował, by uniknąć pytań dowódcy, który na co dzień był piekarzem. Spotkanie było jednak nieuniknione. Spojrzeli na siebie oko w oko. Dowódca był tłusty i biały, jakby wieczniew przysypany mąką.

— Jak zwykle, panie Bielak — powiedział.

— Iu naszym dostało odznaczenia?

— Nie martw się, ty nie dostales.

Miasto dawno nie widziało tyłu dostojeńskich gości. Był nawet jeden generał. Na parkingu obok kina stało czterdzieści lśniących limuzyn. Piętnaście powiatów przysłało najlepsze drużyny strażackie.

Orkiestra zagrała hymn strażacki. Siedzący podnieśli się z krzesel. W tym momencie Kazimierzowi wpadła do nosa mała, kaśliwa muszka. Początkowo chciał ją wydmuchać, ale ten manewr mu się nie powiódł. Mucha wierciła się, trzepotała skrzydełkami, drapała go i laskotała. Ręki nie wolno było mu podnieść. Stał w pierwszym szeregu, na oczach dostojnych przybyszów.

— Muszę wytrzymać — szeptał w myśli. Jeszcze najwyższej dwie minuty.

Lecz muszka zaczęła podążać w głąb nosa. Tego było już za wiele, jak na możliwość człowieka. Orkiestra wykonała właśnie część główną hymnu i miała rozpocząć po sekundowej przerwie, dwięcny refren. W ciszy, jakka zapadła nad łąkami, niby strzał armatni rozległo się podwójne, soczyste kichnięcie,

połączone z nagłym „ha, ha, ha” któregos ze strażaków.

Piekarz spaśował z oburzenia. Przyskoczył do Kazimierza, ledwo padła komenda „spocznij”. Brzuch trzął mu się pod sutym pasem na kształt wieprzowej galaretki.

— Skompromitowałeś nas — powiedział. Mówiąc pluć sliną, co oznaczało, że jest zdenerwowany. Nie jesteście na imieninach u babci.

— Przepraszam, Józek. Pannie komendantce, chciałem...

Odeszli z głównego placu. Kazimierz utykał silniej niż zwykle. Piekarz rozpiął pas, guziki od bluzy i koszuli oraz pasek pod brodą, przytrzymujący kanciasty garnek. Odśapnął z wyraźną ulgą. Jego potężne ciało zyskało trochę swobody. Przyniósł dwie butelki piwa. Przyslanęli w cieniu samotnie rosnącego kasztana.

— Ja nigdy nie miałem szczęścia — powiedział Kazimierz. W wojnę także. Wydawało mi się, że oto życie stoi przede mną otworem, że wezmę karabin do ręki i będę grzmiał jak pan Bóg i rzucał pioruny na potępięńców. Ale stało się zupełnie inaczej. Oberwałem w ten przekłety łeb wcześniej niż zobaczyłem jakiegokolwiek szubrawca Niemca. Od tamtej pory zawsze tak jest. Przegrywam, jeśli się tak można wyrazić, każdą walkę, nim do niej wstanę.

Piekarz wypił piwo. Poklepał się po tłustych piersiach, otarł lysinę i splunął.

— Zawaliłeś robotę, nie ma co — rzekł. Rozmawiałem z jednym takim. Jest propozycja, żebyś złożył prośbę o zwolnienie ze straży. Mówię ci to jako przyjaciel. Widzisz — powiedział — komenda powiatowa uznała twoją małą przydatność dla społeczeństwa. Mówmy szczerze, jesteśmy mężczyznami, twoja nieumiejętność chodzenia budzi pewne, pojmuje się, obawy. I trzeba się z tym, niestety, liczyć.

— Ty także jesteś przeciwko mnie? — rzekł Kazimierz.

— Nie — powiedział piekarz. Rozpoczął zapinanie guzików, paska pod brodą, dociskanie pasa. Poprawił krawat. Butelki z piwa zapakował do torby podróżnej, którą jako smakosz jedzenia i picia tasakał wszędzie ze sobą. Wrócił. Zatrzymał się obok Kazimierza.

— Rozumiesz mnie? — zapytał.

— Nie rozumiem. Nie powiedziałeś mi wszystkiego.

Kiedy słońce zaszło, Kazimierz poszedł do śródmiejskiej, cuchnącej i zadymionej restauracji, gdzie ugrzął na dobre. Zamówił u kelnerki mały jedzenia, a dużo mocnego picia. Kiedy knajpę zamykano, był już nie z tego świata. Nie rozumiał, co do niego się mówiło, nie pojmował tłumaczeń ani gestów. Jakims cudem wymuszono od niego zapłatę, a następnie wyrzucono za drzwi.

— Schłał się jak bydlę — powiedziała kelnerka z obrzydzeniem. Strażak. Oddaj takiemu pod opiekę dom i dzieci.

Była noc. Kazimierz zabłądził w parku. Spodobala mu się fontanna. Wsparł się o żelazną barierkę. Nie widzące oczy wbił z uporem w strumień tryskającej wody. Fontanna znudziła mu się po pewnym czasie. Okrążył park ze cztery razy, nim trafił we właściwą aleję. Rozpoznał ulicę, którą jechał niedawno autobusem. Minął rogatki, most na rzecę, łąki, zgubił helm i toporek, zaszły się w las, zszedł z szosy pomiędzy gąszcz, a ponieważ nie było księżycy, zaś listowie nie przepuszczalo młdego światła gwiazd, więc znużony wyrócił się w poduche zbutwiałych gałęzi i liści, wcisnął pięści pod głowę i nim minęło pięć minut spał sprawiedliwym snem umęczonego człowieka.

Przed prapremierą nowej sztuki Jerzego Zawieyskiego

WARSZAWA. Na „Scenie 61” Teatru Ateneum odbędzie się prapremiera sztuki Jerzego Zawieyskiego „Idziemy do wujka” w reżyserii Janusza Warmańskiego.

O nowym utworze rozmawiamy z autorem.

— Jako autorowi trudno mi zawsze mówić o swych sztukach, a o tej szczególnie. Nie chcę uprzedzać wrażeń widza ani sugerować mu czegoś, czego sam nie dostrzeże.

„Idziemy do wujka”, to utwór współczesny, poruszający ważne problemy zarówno polskie, jak i nie tylko polskie. Konflikt dramatyczny polega tu na konflikcie pokoleń. Zastosowałem w tej sztuce odmiennie środki pisarskie. Są w niej elementy realistyczne, ale jest i dużo niedomówień, jest jakaś metafora. Jest to sztuka wielopłaszczyznowa.

Na premierę czekam z wielkim niepokojem, niecierpliwością, a zarazem ciekawością. Dawno nie byłem tak przejęty.

Ogromną satysfakcją sprawia mi fakt, że sztuka grana będzie na małej scenie Teatru Ateneum — scenie awangardowej, na której wystawiane są utwory młodych pisarzy. Jestem bardzo wdzięczny teatrowi za podjęcie realizacji tej sztuki.

Napisałem ten utwór przed czterema laty. Następnie powstały dwie moje powieści i dramat „Gdy płoną lasy”, który złożyłem w Teatrze Narodowym. (KI-PAP).

TCHÓRZ

Woźny Józefat przestępując próg instytucji Bardzo Ważnej rozejrział się dookoła i z grymasem na twarzy oświadczył: — tu czuć tchórzem.

Co? krzyknął jeden, to mnie jeszcze nie znacie i zaintonował przebieg żołnierski z czasów Kadrowki, drugim głosem sekundował mu sąsiad. Panie rozmitowanymi spojrzeniem potraktowały „malowane dzieci”, które to w międzyczasie wywijają niby szablami. Sprzączka westchnęła jak z okazji „Dnia Kobiet”.

Drugi wchodząc do pokoju zmierzwił śpiwaków a pytający wzrok zatrzymał na stojącym na baczności Józefacie.

— No, czuć tchórzem, odparł nieśmiało woźny.

Drugi chrząknął i opowiedział zbranym o kilkunastu własnych akcjach partyzanckich a całosć zakończył śmiałym dowcipem politycznym o cytrynach.

— Cha, cha, cha, a to ci jest i buchnęliśmy śmiechem podziwu. Żołnierze niespokojnie dreptali w miejscu, już się nie liczyli jako bohaterowie.

— Z czego się tak śmiejecie? zapytał wchodząc z rozmachem Trzeci, acz nie najważniejszy, i w ogóle.

— A no bo czuć tchórzem odparł stojący pod ręką Józefat.

— Co? tchórzem? przy mnie? to mnie jeszcze nie znacie. Tu Trzeci opowiedział jak broniał otwartej krytki, bez anonimów zwemaskował takiego co robił szwinstwa i szwinda, a udawał zaangażowanego.

Opowieść zakończył pikantną anegdotą z życia ob. Ważnego i panny Dziuny co to niedawno wrócił z Zakopanego gdzie przebywali w ramach podróży p-zamżeńskich.

Pomruk podziwu zawirował w pokoju. Do szabel! — krzyknęli ulani. Trzeci ukłonił się jak champion ringu dzielowego i nawet nie poczerwiował, a miał w zwyciężu.

— Józefat tylko kręcił nosem.

— Jeszcze mu mało, bo, przedwojenny, a to ci niedojadek.

Woźny niespeszony krzyknął — jest, jest o tam i wskazał palcem w kierunku okna. Odkroczyliśmy od okna na odległość podejrzenia.

O poleciała bestia o tam na podwórzu gna w stronę magazynu, poczekaj jeszcze ja cię złapię. Odgłaszając się Józefat wypadł z pokoju na pole.

— Rzuciliśmy się do okna. Rzeczywiście małe zwierzątko gnało w stronę baraków.

— A to co za zgromadzenie w czasie godzin naszej pracy? Rzucili przez ramię Najważniejszy.

— Już nie, już uciekli, odetchnęliśmy. To dobrze, to bardzo dobrze, rzekł i zniknął za pilkowanymi drzwiami.

— Drugi, pierwszy odzyskał mowę.

— Takie to małe a tak pobudzają do kawałów. Przytaknęliśmy z półśmiechem.

ŚLAWOMIR KOTULA

Korespondencja

Proroctwa i katarynki - relikty czasu przeszłego...

Przed półwieczem jedną z najpopularniejszych brukowych książeczek, które animowały szerokie kręgi naiwnych była „Nowa Sybilla” czyli PROROCTWO MICHALDY królowej ze Saby, którą masowo kolportowali straganowi kramarze na jarmarkach, odpustach i kiermaszach. „Literatura” ta była rozchwytywana i komentowana szeroko przy kominkach i naftowych kagankach. Na tytułowej stronie

książki obrazek przedstawiający króla Salomona i królową Michalę, a obok skryba niejako protokolant, spisujący treść rozmowy — z mądrym królem. Dowiadujemy się na wstępie, że tych Sybilla było 13, a „Mądra rozmowa królowej ze Saby z królem Salomonem miała miejsce około 875 roku przed narodzeniem Chrystusa Pana” — nakładem Edwarda Feitziingera — za pozwoleniem Zwierzchności rządu-

wej w CiK nadwornej drukarni Karola Prohaski w Cieszynie wydana na światło dzienne (Strona 48 — 6. T. w 1913 roku).

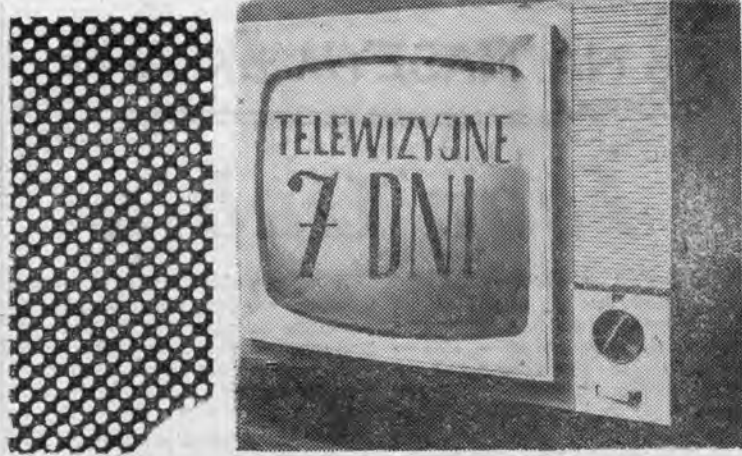
Niektórzy jeszcze dzisiaj dają wiarę tym wypocinom i białe temu, kto by usiłował je podważyć. Proroctwa królowej Michalę obecnie drukowane są w USA o większym kilkakrotnie formacie, niższym biblia.

P. doc. Kotuła pisał w „Widnokragu” o „nowinkach”. Warto również wspomnieć o kataryniarzach zwykle ślepcach lub kalekach, którzy w towarzystwie małżonek wędrowali z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark. Taka para, zwykle już zaawansowana latami ustawiła katarynkę na przenośnych szragach, a na niej klatkę z papugami i losy ułożone w drewnianej lub tekturowej skrzynce. Kataryniarz kręcił korbą katarynki i grał popularne melodie, towarzysząca zachwalała „losy”. Ciekawy swego LOSU widział np. czterech centy, kataryniarz uciszał fałsetową muzykę. Towarzyszka podawała skrzynkę papudze, a ta dziobem wyciągała właściwy LOS.

Rozumie się, że losy były tak zredagowane, że każdy klient kataryniarza mógł sobie z tych nowinek dla siebie coś imputować. Kataryniarz grał, klienci się pchali w kolejce, papuga wybierała losy, a małżonka czy towarzysząca kataryniarza zgarniała centy, a często i nikielki, a nawet srebrniki. Wszak dumistów nie sieją.

Dawniej w dni robocze można było kataryniarzy spotkać na ulicach miasteczek w okresie ciepła, a kataryniarskie melodie wabiły tłumy dzieci i gawiedź uliczną. Dziś już po katarynkach ani śladu — wyprzągnięty wraz z kataryniarzami relikty tamtej epoki.

JACEK JOTERSKI



Tradycją już niemal się stało, że Plebiscytom Archimedeasa w całej siły miejsce poświęcam. Niechlubny wyjątek stanowiły tylko trzy panie, które ani mi się wzorem wydały, ani była skłonna plotkować o ich sypialniach. Ostatni Archimedeas naniósł tyle cieniutkich zwątpień w możliwość wyboru, takim bagażem przemyśleń nas obarczył, naturalnie dopiero wtedy, kiedy się skończył jako program telewizyjny, wyróżniła go przy tym tak zasadniczo i zaciekle dyskusja, że te półtorę setki wierszy prasowych niewiele z niej w stanie odnotować. Toteż próbuję o nim pisać z bardzo mieszanymi uczuciami i zacząć może od tego, co z taką pasją rozrządzał prof. Morawski: jakie kryteria winny nam przyświecać i co jest zupełnie wyjątkowe w proponowanych postaciach, że pozwala im wejść na prawach tej wyjątkowości zjawiska geniuszu ludzkiego do światowej kultury i nauki.

Zacznę na pewno od tego właśnie, choć poczynię małe zastrzeżenie, że za Morawskim i Zonen wybieram apostoła rewolucji — Włodzimierza Majakowskiego jako zjawisko niepowtarzalnie jedyne, umysł proroczy, kulturę ogromną, poezję nigdzie później nie spotkaną. I tak już opowiedziawszy się zdecydowanie za jedną z wielkości — dopiero mogę spokojnie powrócić do reszty kandydatów na zwycięzcę, którzy tyłu sporów nasytych przyczyną i jednocześnie powodem do podważalności wyjątkowości spośród niejednorodnych wartości.

Zaproponowałem nam dziesięć. To dość jak na Archimedeasa i śmiesznie mało jak na reprezentantów Związku Radzieckiego. Wszystkim zgodnie towarzyszył liczebnik przymiotnikowy: pierwszy. A więc pierwszy człowiek kosmodromów radzieckich — Korolew, pierwszy — zatem najznakomitszy słowiański pedagog — Makarenko, pierwszy badacz Arktyki ZSRR — Papanin, pierwszy komisarz oświaty — Lunaczarski, pierwszy fizjolog świata — Pawłow, pierwszy czerwony reżyser — Eisenstein, pierwszy — zatem ojciec astronautyki — Ciołkowski, pierwszy poeta rewolucji — Majakowski, pierwszy fizyk świata — Landau i pierwszy kompozytor — Szostakowicz.

Drogą różnorodnych eliminacji

Nowa ekspozycja w muzeum Elizy Orzeszkowej w Grodnie

Po przeprowadzeniu prac konserwatorsko - remontowych w domu Elizy Orzeszkowej w Grodnie, otwarto tam nową ekspozycję poświęconą życiu i twórczości wybitnej pisarki społecznej. Na wystawie zgromadzone pamiątki, m. in. podobizny autorki „Nad Niemnem” oraz jej rodzinny i przyjacielski, autografy, wydawnictwa.

zostało ich czterech pierwszych: Majakowski, Lunaczarski, Pawłow i Landau. Za prof. Morawskim znowu powiem, że Landau nie rozumiem właśnie tam, gdzie zaczyna się jego wielkość naukowa. Cóż bowiem wie o nim przeciętny człowiek — smakujący cywilizację, lecz rozumiejący kulturę? Wiem, że to bardzo wielki uczonek, świetny we wszystkim, co chce robić, więc kto wie, czy nie świetny byłby jako pisarz, działacz oświatowy czy muzyk. Tego jednak nie wybrał — został fizykiem i obwarował się tajemnicą niezrozumiałych formuł, które w konsekwencji i praktyce ułatwiają nam technicznie życie nie rozumiejąc formuł i wybierając — datąbym wyraz dogmatycznej li tylko aprobaty dla wielkości. To samo z Pawłowem, Korolewem i paroma innymi. Landau imponuje jako osobowość; byłby wspaniałym, znakomitą kandydatem wśród reprezentantów li tylko nauk ścisłych; Landaua my nie rozumiemy.

Ktoż nie rozumie Makarenki, Lunaczarskiego, Majakowskiego, Eisensteina? Czy jednak może się zdarzyć działacz typu Makarenki i Lunaczarskiego? Może, a nawet może się zdarzyć, tylko że już nie był pierwszy i dlatego nie wiemy o nim. Czy może się zdarzyć drugi Majakowski? Nie może, bo to już będzie Jesienin, Wozniesiński czy Achmatowa. Zjawiska artystyczne nie są powtarzalne; są jedne, obwarowane oryginalnością, eksplodują własną wizją, nie pracują na nie zbiorowy wysiłek jak w wypadkach naukowców, choć czasem w atmosferze zbiorowego wysiłku się ujawniają. Myślę, że takim podłożem zapalnym dla myśli Majakowskiego był właśnie zbiorowy wysiłek potrzeby zmiany świata, jakim jest zjawisko Rewolucji Październikowej. Ale on dał tylko atmosferę poezji Majakowskiego; myśl wizjonerską, okrutnie niszczącą słowem przejawy beznadziejności była jednak własna i powtórzę jej jako swoją nikt i nie nie potrafi. Można zatem kontynuować Majakowskiego. Nie można jednak być drugim Majakowskim.

Nie interesują mnie legendy życia, mit śmierci; ważne jest to, co pozostało pomimo czy ubrew legendom i mitom. A został nietknięty czasem wielki poeta: nawet dziś aktualny, a także i dziś niszczący to, co niszczyć należy, bo jest złe.

Dyskutowali w Archimedesie wybitni znawcy przedmiotu. Robili to zaciekle i mądrze. Myśl ludzka, żar argumentacji i wiara we własne słowa nigdy się widać nie zestarzejają, bo po latach znowu je zobaczyła u prof. Morawskiego, którego wykładów kiedyś słuchałam bardzo młoda i bardzo już wtedy zaczarowana precyzją tej logiki i umiejętnością dotarcia do słuchacza. Więc powiem za jego myślą: nie co humanistyczne, a więc ludzkie, a więc twórcze — nie da się usunąć w cień nawet najgłówniejszym odkryciom technicznym. I tu dam amen — bo papier nie telewizja — wypowiedzi przeciągać nie pozwoli.

KRYSTINA

P. S. I jeszcze powiem: czy jednak telewizja — to nie wspaniała rzecz, że człowieka potrafił zmusić czasem do dyskusji wartych tego miana?

napisana, ciekawa „Miłość i nienawiść” nosząca podtytuł „Ballada o Hiszpanii”.

PAMIĘTNIKI FILIPA PAWŁA DE SEGURA ADIUTANTA NAPOLEONA. Przeł. E. Leszczyńska. MON. s. 391, cena 30 zł.

Niezwykle burzliwy żywot miał autor tych wspomnień. Walczył pod wodzą Napoleona od 1800 roku i od szeregowca awansował do stopnia generała. Pamiętniki prezentowane w Polsce po raz drugi (pierwsze wydanie — 1912 rok) omawiają kampanię rosyjską Napoleona w 1812 roku. Interesujący dokument epoki, w której Polacy tak wielką i tragiczną rolę odegrali.

W Żółtej Bibliotece dalsze nowości. Ołóż PIW wydał WYBÓR WIER-SZY Edwarde Bagrickiego, wybitnego poety radzieckiego okresu powojennego (zmarł w 1934 r.). Wstęp Z. Braude. PIW. s. 121, cena 15 zł.

Wydawnictwo Lubelskie prezentuje swym czytelnikom tomik poetycki Mirosławy Knorr zatytułowany „IKEBANA Z JEŻA”. Ten zbiór satyr jest trzecią książką autorki. s. 36, cena 8 zł.

HISTORIA WIELKIEJ WOJNY NARODOWEJ ZWIĄZKU RADZIECKIEGO 1941—1945 Tom szósty. WYNIKI WIELKIEJ WOJNY NARODOWEJ ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. MON. s. 880, cena wraz z mapami 95 zł.

Poza historią zwycięstwa, zagadnieniami ideologii i polityki zagranicznej, licznymi zdjęciami i mapami — historiografia radziecka, w krajach socjalistycznych i kapitalistycznych oraz bibliografia.

Ignacy Pawłowski, Kazimierz Sobczak: WALKI POLSKIE W Rewolucji Październikowej i wojnie domowej w Rosji 1917—1921. MON. s. 268, cena 17 zł.

Ta praca naukowa zawiera liczne ilustracje, mapy oraz obszerną bibliografię.

Eugeniusz Kriegerowicz: PRELE-GENT — PRZEMÓWIENIE. PORADNIK METODYCZNY. KIW. s. 75, cena 4 zł.

Wreszcie na rynku księgarskim pojawiają się pozycje potrzebne każdemu propagandyście, każdemu kto zajmuje się szkoleniem partyjnym czy wygłasza odczyty. Broszura omawia znaczenie żywego słowa, sposób

przygotowania przemówienia i sposób jego wygłoszenia.

Stefan Słonkiewicz: DYDAKTYCZ-NE PROBLEMY SZKOLENIA PARTYJNEGO. KIW. s. 101, cena 5,50 zł.

Poza problematyką ogólną związaną z procesem szkolenia partyjnego omówienie metod szkolenia partyjnego, możliwości ich modyfikacji, sposób przygotowania wykładowej do zajęć i w ogóle o samokształceniu wykładowej. Również zebrana w całość bibliografia zagadnienia.

Tadeusz Majcie: MEDYCINA NUKLEARNA. PZWL. s. 144, cena 15 zł.

Olgierd Stanisłakis: GOSPODARSKI CHOW OWIEC. PWRIL. s. 92, cena 10 zł.

Stefan Raczyński: NITROGLICERYNA. 100 lat przemysłowego wytwarzania. MON. s. 119, cena 7 zł.

Jan Trzaska: Partyzanckie ścieżki: MON. s. 391, cena 20 zł.

Wspomnienia dowódcy jednego z pierwszych oddziałów GL, działającego w okręgu miechowskim. Tematem stały się akcje partyzanckie w okolicach Ojcowa, Wolbromia, Pili-cy i Pińczowa.

Rodzina o rodzinie. Wybór i oprac. Z. Kosowska-Szczyńska i F. Jakubczak. Iskry, s. 366, cena 20 zł.

Problem rodziny stał się tematem jednego z konkursów ogłoszonych przez redakcję „Argumentów”. Najciekawsze z nadesłanych pamiętników zostały zebrane w niniejszym tomie.

Anna Klubówna: Kazimierz Wielki. KIW. s. 330, cena 10 zł.

Nowy tomik biblioteczki popularnonaukowej „Światowid”. Bogato ilustrowane, w sposób przystępny podane wiadomości z okresu panowania Kazimierza Wielkiego, zakończono kalendarzykiem najważniejszych wydarzeń.

Teodor Szymanowski: Młodociani w polskim prawie karnym i penitencjarnym. Wyd. Prawnicze, s. 212, cena 25 zł.

Książka stanowi próbę ukazania całości problematyki środków zwalczania przestępczości młodocianych w Polsce, w oparciu o najnowsze badania przeprowadzone w tej dziedzinie.

Jan Winiarz: Matżeńskie stosunki majątkowe. Wyd. Prawnicze, s. 112, cena 5 zł.

Po wstępnym, historycznym zarysie problematyki, autor zajmuje się ujęciem tych spraw w kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, ustawowym i umownym ustrojem majątkowym, zagadnieniem dziedziczenia i odpowiedzialnością małżonków za długi.

KSIAŻKI

Bohdan Kaznowski: CIENIE NA CHMURACH. MON. s. 239, cena 12 zł. O lotnikach i ich przygodach czytamy chętnie. Zawsze jest bowiem dużo romantyki w tym zawodzie. Autor zajmuje się w omawianej pozycji lotnictwem współczesnym; odrzutowymi, ponaddziesięciotonu samolotami i ludźmi, którzy obsługują te nowoczesne maszyny. „Cienie na chmurach” to powieść osnuta na tle tragicznego wypadku młodego pilota.

Andrzej Przypkowski: ONI BYLI WSZĘDZIE. MON. s. 227, cena 10 zł. „Oni” to członkowie francuskiego Ruchu Oporu. O ich przygodach, walkach i śmierci pisze autor w zamieszczonych w tomie dziesięciu opowiadaniach. Znany już nam, ale zawsze ciekawy obraz Francji okresu II wojny światowej.

Monika Warnęska: PODZIEMNY TROP. Wyd. Lubelskie. 194, cena 13 zł. Autorka książkę swą dedykuje córce i jej rówieśnikom. W przedmowie pisze: „... leśna polana, rozległa i słoneczna, zamknięta w zielonym pierścieniu młodych drzew, stanowi bramę, wiodącą w inny tajemniczy świat. Okrągłe, metalowe płyty ... prowadzą prosto w świat przygody”. O dawnej i niedalekiej przeszłości. Dobra literatura młodzieżowa.

William Faulkner: OPOWIADANIA. T. I/II. Tłum. Z. Kierszyński i J. Zakrzewski. PIW. Wyd. II. s. 389+509, cena 50 zł.

Opowiadania znanego amerykańskiego pisarza zgrupowane są w sześć części: „Wieś”, „Młosteczko”, „Puszcza”, „Ugór”, „Ziemia uprawna”, „Po tamtej stronie”. Stanowią doskonały przegląd całokształtu twórczości tego pisarza.

Janis Griva: MIŁOŚĆ I NIENAWIŚĆ. Tłum. J. Laskowska. MON. s. 404, cena 18 zł.

Jest to powieść znanego na Łotwie pisarza i poety. Janis Polmanis, bo tak brzmiał jego prawdziwe nazwisko, brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej jako żołnierz ochotniczych brygad międzynarodowych. Plonem tych doświadczeń jest żywo

NA NASZYM EKRANIE

Jean Gabin

Scichł terkot projektora. Ludzie ruszyli ku wyjściu i w ich oczach odbijał się jeszcze migoczący na ekranie obraz. — Phi — skrzywił się jakiś młodzik. — Takie sobie filmidło... ale ten stary — o, on zna swój fach. Film nosił tytuł „Monsieur”, a „stary” nazywał się — Jean Gabin.

Młodzika nie było jeszcze na świecie, kiedy nazwisko Gabina znalazło się już na ustach widzów kinowych całej Europy. Dokładnie 30 lat minęło od realizacji filmu Jeana Renoira „To-



warzysze broni”, w którym grał jedną z głównych ról, prostego człowieka z ludu, noszącego oficerski mundur. To była wielka kreacja z zachwytem przyjęta przez publiczność, rola, która przyniosła mu rozgłos. Później były inne filmy: „Ludzie za mgłą”, „Bestia ludzka”, „Brzask”, dzieła znakomitych reżyserów, które ugruntowały sławę tego aktora. Dziś nikt nie pamięta tych filmów ani nazwisk tamtych reżyserów, jedynie w encyklopediach i podręcznikach historii filmu można o nich przeczytać. A Gabin?

— Robię dwa filmy w roku: od marca do maja i od października do grudnia. Pozostały czas zajmuję mi to, co mi się podoba. Są wśród moich kolegów ludzie, oświadczaający, że nie mogą przeżyć dnia bez zdjęć. A ja gwizdę na to. Jest tyle rzeczy na świecie, które podobają mi się znacznie bardziej.

Tak mówi w wywiadzie prasowym. Ale po co w takim razie złożył niedawno razem z Fernandem spółkę filmową „Gaffer”? Wiadomo, że jest farmerem i gospodarstwu poświęca wiele czasu, ale te 90 filmów, w których wystąpił, to też duża i ważna częśćka jego życia.

Współpracuje z Fernandem. Z Fernandem także debiutował na ekranie w roku 1930 i to jako... komik. Tak, tak, Jean Gabin zaczynał w kinie, a przedtem także na estradzie od komedii, choć sławę przyniosło mu dopiero role dramatyczne.

Nazywa się właściwie Jean Alexis Moncorge i jest synem biednych śpiewaków estradowych. W młodości nie chciał iść w ślady rodziców, marzył, by zostać maszynistą (pamiętacie jak wspomniał w tej roli w filmie „Noc jest moim królestwem?”), uciekł z domu, był betoniarzem, pracował jako robotnik fizyczny w zakładach metalowych.

Rodzice jednak dopięli swego. „Wbrew swojej woli, omal że popychany kulakami w grzbiet, ale pragnąc choć raz w życiu sprawić zadowolenie ojcu, wyszedłem na scenę” — napisze później.

Nie zrobił wtedy kariery. Tak jak i rodzice grał dalekoplanowe role, statystował i gdyby nie Mistinguett, nie wiadomo jak ułożyłby się jego dalsze losy. Znakomita, wspaniała artystka zwróciła uwagę na młodego adepta sztuki estradowej i ściągnęła go do Moulin Rouge, gdzie sama była gwiazdą pierwszej wielkości.

Lata 1937—1939 to szczytowe sukcesy filmowe Gabina. Po wybuchu wojny aktor znalazł się w Hollywood, ale tam nie może znaleźć dla siebie miejsca. Gra w 2 filmach, ale podobnie jak jego bohater z „Towarzyszy broni” nie potrafi żyć na obczyźnie. W 1943 r. na ochotnika wstępuje do sił zbrojnych Wolnej Francji. Jest dowódcą działu na okręcie i mimo prób ściągnięcia go do pracy w wojskowym aparacie propagandy i kultury, pozostaje na pokładzie. Pływa w eskorcie konwojów do końca wojny.

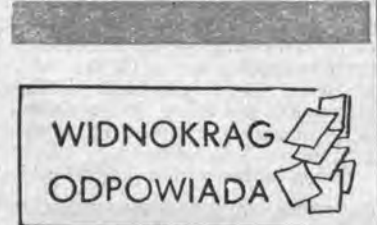
Minęły lata i Gabin znów stanął przed kamerą. W „Murach Malapagi”, „Noc jest moim królestwem” (nagroda na festiwalu w Wenecji) i innych filmach przypominał siebie, swoje mistrzostwo, znakomitą umiejętność kreowania współczesnych postaci.

Grał w około 90 filmach, zbierając liczne nagrody. Grał różnych ludzi, od błazna poprzez żołnierza — dezertera do miliardera czy bankiera, jak w „Monsieur”.

Ten człowiek to szmat historii francuskiego kina, świadek i uczestnik jego największych ostągnięć i porywów. I dlatego można tylko żałować, że młody widz z rzeszowskiego kina mógł go widzieć tylko w niewielu rolach.

(sz)

P.S. W odpowiedzi „Kinomanowi”. Zarzuty przyjmuję. Istotnie ostatnio w rubryce tej pojawiały się sylwetki wyłącznie aktorów, ale już za 2 tygodnie będzie kobieta.



Krystyna S. Niestety nie dostrzegliśmy żadnych wartości w nadestanych nam wierszach, natomiast zauważyliśmy sporo błędów ortograficznych i gramatycznych. Nie jesteśmy małostkowi, ale sądymy, że najpierw warto się nauczyć pisać w ogóle, a później próbować sił w twórczości literackiej. Tym bardziej gdy, jak się domyślamy, autorka jest uczennicą.

R. z Birczy: Pisze Pan: „z braku zajęcia zacząłem pisać wierszyki. Nie wiem, czy warto pisać. Redakcja doradź”. — Odpowiadamy — wiersze są niedobre, ale skoro Pan nie ma nic do roboty... Pisanie złych wierszy jest zupełnie przyzwoitym sposobem spędzania czasu.

P. P. Komańcza: Jeszcze nigdy nie otrzymaliśmy dotąd opisu wystawy rolniczej w kształcie utworu poetyckiego. Czy nie mógł Pan napisać o tym prozą, spokojnie i rzeczowo miast silić się na liryzm? Nie wszystko nadaje się jako temat do twórczości poetyckiej.

„Jaśko Dębóróg”: Sonet poprawny, ale wtórny, mało oryginalny. Używa Pan zwrotów zbanalizowanych od częstego użycia w tradycyjnej poezji. Współczesna wersyfikacja uznaje każdy gatunek wiersza.



CZESŁAW BIELEŃ
— kierownik szkoły w Widelce.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

O POTRZEBIE ZWIERZEŃ

Na ogół jestem człowiekiem szczęśliwym. Tylko niekiedy — mniej więcej raz w roku, bywa mi ciężko na sercu i wtedy odczuwam gwałtowną potrzebę zwierzeń.

Wygadać się kiedy człowieka boli, to już prawie połowa kuracji. Na tej zasadzie działa psychoanaliza. Bierze się człowieka dotkliwie doświadczonego, stroskanego i chorego, i pozwala mu się mówić tak długo, aż wszystkie bóle ustąpią.

Ja też jestem człowiekiem o tragicznych doświadczeniach, jestem chory i cierpię na mnóstwo kompleksów. I szukam życzliwego ucha, które zechciałoby mnie wysłuchać.

Niedawno spotkałem znajomego, który bardzo się mną ucieszył.

— Co słyhać? — zapytał z zainteresowaniem — Jak się czujesz?

— Serce mnie boli — powiadam, bo akurat w tym dniu było mi ciężko na sercu.

— Serce? — roześmiał się. — To niemożliwe. Serce to anachronizm. Kto dzisiaj ma serce?

Więc pożegnałem go, bo to cynik i poszedłem dalej i spotkałem jeszcze jednego znajomego i ucieszyłem się, pomyślałem, że może teraz będzie okazja zwierzyć się, wygadać, ulżyć sobie.

Ale ten znajomy był bardzo zajęty, w ogóle nie miał zamiaru słuchać, zapytał tylko, czy mógłbym mu pożyczyć tysiąc złotych i nie czekając na odpowiedź pobiegł dalej.

A mnie nadal było smutno i ciężko, daremnie rozglądałem się, poszukując kogoś życzliwego, kto miałby cierpliwość mnie wysłuchać.

Dopiero o zmierzchu natknąłem się na starszego pana, który stał przed wyjściem do parku i patrzył gdzieś daleko i wysoko ponad wierzchołki drzew, nad którymi za chwilę miał ukazać się błdy księżyca.

Starszy pan milczał, a mądry uśmiezek dyskretnie błąkał się na jego ustach, podszedłem i ukloniłem się. Nie odszedł ode mnie, przeciwnie: zachowywał się tak, jakby czekał na mnie i na moje zwierzenia.

Zacząłem mówić. Słuchał. Opowiedziałem mu, że mi ciężko na sercu, że mi smutno, starzeję się itd.

Starszy pan słuchał cierpliwie. Zaczęło padać, a on nie miał parasola. Nie uciekł przed deszczem. Stał i słuchał, a ja stałem i zwierzałem się.

Kiedy skończyłem mówić, nie pocieszał mnie. Wiedział, że teraz skoro wygadałem się do syta, już mi dobrze.

Podziękowałem mu, chciałem pożegnać się i odejść. Ujął jego rękę: była sztywna i ciężka. Zimna ręka z brązu. Zrozumiałem dlaczego starszy pan tak cierpliwie wysłuchiwał moich zwierzeń, nieruchomo i milcząco.

Stałem przed pomnikiem wielkiego poety i znawcy dusz ludzkich, zmarłego sto lat temu.

ZDARZENIA TYGODNIA

Coraz częstsze są kontakty województw rzeszowskiego i koszyckiego (CSRS). Informowaliśmy już o wymianie delegacji działaczy kulturalnych. Tym razem mamy do odnotowania wyjazd na Słowację Zespołu Pieśni i Tańca WDK, który w czasie 5-dniowego pobytu wystąpi w kilku miejscowościach wspomnianego już województwa.

W ramach rewizyty na rzeszowszczyznę przybędzie 75 osobowy reprezentacyjny zespół wokalny - muzyczny nauczycieli z Koszyc. Dziś możemy zapowiedzieć jedynie, że goście wystąpią z koncertami w Jaśle, Krośnie, Sanoku i Sędziszowie.

Działalność wydawnicza jest jedną z podstawowych akcji Muzeum Okręgowego w Rzeszowie. Tym razem odnotowujemy już piątą pozycję z cyklu katalogów, posiadanych przez tę placówkę zbiorów. Jest nią opracowanie mgr Renaty Balickiej-Knotz pt. „Zabytki Dalekiego Wschodu w zbiorach Muzeum w Rzeszowie” pod redakcją mgr. Marli Cisek. Na treść składa się dość obszerny wstęp, dający zarys wiedzy o sztuce Dalekiego Wschodu, katalog posiadanych eksponatów, objaśnienia i jak zwykle dobre zdjęcie Aleksandra Hadady. Opracowanie Graficzne Krystyny Suss.

Placówki biblioteczne naszego województwa uczliły 50 rocznicę Rewolucji Październikowej licznymi wystawami wydawnictw radzieckich i zorganizowanymi z tej okazji imprezami. Np. w świetlicy Prez. PRN w Łanucie do 9 bm. czynna była wystawa książki pt. „Literatura piękna Związku Radzieckiego”, zorganizowana przez Koło Przyjaciół Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Przed kilkoma dniami „Nowiny Rzeszowskie” odnotowały z miłą satysfakcją otwarcie długo oczekiwanego w Rzeszowie Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Mieszkańcy wojewódzkiego miasta oczekują na inicjatywę kierownictwa tej placówki, która w dużym stopniu może przyczynić się do organizowania życia kulturalnego.

Dziś wypada nam odnotować pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie. Oto w porozumieniu z Zarządem Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w lokalu KMPiK urządzono wystawę obrazów czterech rzeszowskich artystów plastyków: Zygmunta Czyżę, Zuzanny Kusek-Kud, Heleny Majewskiej i Roberta Pełczyńskiego. Można również zapewnić, że każde ważniejsze wydarzenie odnotujemy w tej skromnej rubryce.

Ostatnie posiedzenie Zarządu Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza poświęcone było omówieniu planów działalności. Przewiduje się m. in. czytanie podczas zebrania opracowań naukowych oraz rozszerzenie pracy kulturalno-oświatowej, zmierzającej do popularyzacji literatury wśród młodzieży szkolnej i dorosłych. Jednym z głównych tematów obrad były sprawy organizacyjne sesji naukowej, poświęconej życiu i twórczości Władysława Reymonta, która zostanie zorganizowana w grudniu br. w związku z setną rocznicą urodzin pisarza.

W okresie jesienno-zimowym, szczególnie na wsi, prowadzi się szeroką akcję kulturalno-oświatową. Wychodząc z tego założenia Zarząd Okręgu Zw. Zaw. Prac. Rolnych, Wojewódzkie Zjednoczenie PGR i WDK zorganizowały dwutygodniowy kurs dla kierowników świetlic państwowych przedsiębiorstw rolnych mający na celu przygotowanie ich do pracy w swoich środowiskach.

Zajęcia, które rozpoczęły się 17 bm. obejmują wiele interesujących tematów z zakresu form i metod upowszechniania kultury i oświaty, planowania działalności i zajęcia praktyczne.

Przewodniczy terenowi zrzeszeń w kole przy Oddziale PTTK w Rzeszowie w ubiegłym sezonie turystycznym oprowadził 417 wycieczek, liczących 20 tys. uczestników, bez wycieczek oprowadzanych społecznie. Właśnie omówieniu działalności sporej, bo liczącej około 120 osób grupy przewodników było poświęcone ostatnie posiedzenie Zarządu Koła Przewodników Terenowych. Zatwierdzono również plan pracy na rok przyszły, który zawiera bogaty program szkolenia i sesji, zmierzających do podnoszenia kwalifikacji.